

# BLUSZCZ

*Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec*

ROK LX

WARSZAWA, DNIA 12 LISTOPADA 1927 ROKU

NR 46

TREŚĆ NUMERU: Odpowiedzialność społeczna — *J. Y.* Zagadnienia polskiego kopciuszka — *M. H. Szpyrkówna.* Wiersz: „O, w przyrodzie się kochać...” — *Anna Słonezyńska.* Księżna Łowicka (dok.) — *Adam Czarłkowsk.* Profesor (c. d.) — *Max Wit.* Kaczęta (powieść) c. d. — *W. Miłazewska.* Kronika plastyczna — *I. j.* Kobieta w świecie i w domu — *N. J. i R. C. H.* Życie zaczyna się dziś, a nie jutro — *W. D.* Gnicie owoców — *Stan. Schönfeld.* Przechowywanie jaj — *Inż. Lentz.* Czyszczenie i odświeżanie mebli — *J. S.* Listopad w gospodarstwie domowym — *Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”: Futra — *Well.* Pull-over czyli ciepła kamizelka dla mężczyzny. Dodatek powieściowy: „Poławiacz dusz” — *Douglas Goldring.* — autoryzowany przekład *Haliny Gromadzkiej.* Arkusz wzorów.

## ODPOWIEDZIALNOŚĆ SPOŁECZNA

Poruszając kwestję odpowiedzialności, musimy wyjść z założenia, że człowiek posiada wolną wolę. Pojęcie odpowiedzialności jest bowiem logicznym następstwem przyjętej zasady wolnej woli. Gdybyśmy nie mieli swobody wyboru w czynie, nie moglibyśmy być za czyn odpowiedzialni. Odpowiedzialność polega zatem na uświadomieniu wolnej woli w wyborze czynu i na zrozumieniu logiki, jaką obrany czyn za sobą pociąga.

To też odpowiedzialnym może być człowiek dopiero na pewnym stopniu rozwoju. Odjum odpowiedzialności zdjęte być musi z człowieka, który, — czy to wskutek niedorozwoju, czy to wskutek fizycznych zaburzeń organizmu — tych podstawowych pojęć w sobie nie wyrobił, lub je zatracił.

Nie będziemy się w tym krótkim szkicu zajmowali teologicznym tematem odpowiedzialności człowieka przed Bogiem, ani filozoficznym tematem abstrakcyjnej etyki wobec siebie samego, — postaramy się natomiast zdać sobie sprawę z odpowiedzialności przed społeczeństwem. Sprowadzając ją zaś na grunt wartości społecznych, a więc realnych, musimy wszelką względność odpowiedzialności ustosunkować do tychże realnych wartości.

Przedewszystkiem, co to jest odpowiedzialność społeczna? Jest to odpowiedzialność jednostki pojedynczej, lub zbiorowej, za całość.

Należąc do danego społeczeństwa, które pojmujemy, jako zrzeszenie, związane wspólnością celów i interesów, obowiązani jesteśmy poddać się wspólnym

prawom i dobrowolnie przyjąć spadające na nas obowiązki. Sprawozdanie, jakim jest, w odniesieniu do społeczeństwa, stosunek zysków czy strat, które wnosimy do ogólnego bilansu wartości społecznych; wyrowadzenie konsekwencji, które zyski te, czy straty, za sobą pociągają, i ocena wynikłych stąd korzyści, czy szkód dla społeczeństwa, — oto kryterjum, którego trzymać się trzeba, analizując odpowiedzialność społeczną. Przekonanie, że należy się od nas społeczeństwu współpraca i przysparzanie ogólnej wartości, nazwiemy poczuciem odpowiedzialności społecznej.

Możemy rozróżnić odpowiedzialność społeczną historyczną, historyczno-moralną i moralną.

Odpowiedzialność historyczną ponoszą ci, którzy wprawiają w ruch społeczeństwo, tworząc tem samym jego historję; historyczno-moralną — ci, którzy wpływem swym decydują o sposobie reakcji zbiorowej na wezwanie jednostek, historycznie odpowiedzialnych — moralną zaś ci, którzy tworzą podłoże społecznego poziomu, od którego wysokości zależnym jest ogólny postęp wewnętrznej i zewnętrznej kultury. Odpowiedzialność historyczna ciąży na mniejszości, moralna — na ogóle.

Pozatem możemy odpowiedzialność społeczną określić bliżej względnością i bezwzględnością, pośredniością i bezpośredniością, dodatnością i ujemnością.

Odpowiedzialność społeczna jest o tyle względna, że ustosunkowaną być musi do stanowiska i zdolności rozwojowej jednostki społecznej. Jest o tyle bezwzględna, że z reguły obowiązuje każdą zdrową i nor-

malną jednostkę społeczną, na każdym stanowisku i w każdych warunkach.

Suma postępu społecznego odpowiada sumie odpowiedzialności bezwzględnej ogółu.

Odpowiedzialność za wszelki czyn — czy to będzie wina, czy zasługa — powstały z nakazu, lub impulsu cudzego, nazwiemy odpowiedzialnością pośrednią. Odpowiedzialnością bezpośrednią obarczyć musimy twórców wartości, jednostki i korporacje kierujące, organizatorów i inspiratorów czynu. Oni brać muszą na siebie cały ciężar brzemiennej, często nawet nieobliczalnej odpowiedzialności.

Czyn ich przerasta nieraz ich samych, i ogrom odpowiedzialności, która się rozrasta w dysproporcji do zamierzeń, przechodzi w tragedję. Odnosi się to w pierwszej linii do przywódców rewolucyjnych i inspiratorów wojennych.

Dodatnią odpowiedzialnością będzie odpowiedzialność, przynosząca korzyść społeczeństwu, ujemną — przynosząca szkodę.

Wracając do odpowiedzialności historycznej, zdefiniujemy choć pokrótce odpowiedzialność zasadniczych placówek politycznych, mających decydujący wpływ na historję narodu i społeczeństwa, a więc rządu, dyplomacji i Sejmu.

Z chwilą objęcia steru państwa, rząd obejmuje odpowiedzialność za stworzoną ideę państwowej polityki i gospodarki, oraz za harmonizujące z tą ideą zarządzenia, spraw państwa, dotyczące. Ponieważ rząd jest dla społeczeństwa, a nie społeczeństwo dla rządu, mamy prawo czynić rząd odpowiedzialnym za konsekwencje zarządzeń, o ile są w sprzeczności z korzyścią kraju i obywateli.

Dyplomacja, reprezentująca państwo za jego granicami, odpowiedzialna jest za umiejętne przeprowadzenie wskazówek politycznych swego rządu, za straż nad państwowymi interesami i utrzymaniem powagi państwa na zewnątrz.

Sejm, kontrolujący politykę i gospodarkę rządu, odpowiada za ustawy, które uchwała, za opiekę nad interesami obywateli kraju i za godną zaufania reprezentację społeczeństwa.

Wybierając swą reprezentację na zasadzie racjonalnej ordynacji wyborczej, ogół narodu musi być odpowiedzialnym za Sejm; Sejm zaś, decydując wpływem swym o utworzeniu się danego rządu, ponosi odpowiedzialność za rząd. Społeczne korporacje kie-

rownicze w stosunku do siebie i do społeczeństwa, jakoteż społeczeństwo w stosunku do tych korporacji — powiązane są więc ze sobą węzłem wzajemnej odpowiedzialności.

Zaliczając do kategorii historycznie odpowiedzialnych władze rządowe, polityków, dyplomatów, przywódców partyjnych i rewolucyjnych, inspiratorów wojennych i wodzów militarnych, trzeba sobie zdać sprawę z tego, że, odpowiadając historycznie, są oni częstokroć w dysharmonji z odpowiedzialnością moralną.

(Odpowiedzialność ich może więc łączyć równocześnie dwie sobie przeciwne cechy: dodatnią i ujemną). Zasadą ich — dewiza: cel uświęca środki. — Odpowiedzialność swą redukują do osiągnięcia celu, historycznie czy socjalnie korzystnego. Ponad wyraz ciężką jest odpowiedzialność twórców i kierowników, którzy operują wielkimi wartościami i ilościami, powołują masy do czynu zbiorowego, prowadząc je nieraz przez gehennę wojen i walk bratobójczych. Jest to odpowiedzialność hazardu, który, wrazie szczęśliwego i korzystnego wyniku dla społeczeństwa, uświęca najcięższe ofiary; wrazie zaś bankructwa, — pogrąża społeczeństwo w najboleśniejsze i najstraszniejsze tragedje.

To też naród często piętnuje nieszczęśliwych swych przywódców, szczęśliwym zaś zdobywcom zapomina wszelkich uraz i ofiar, a stawiając im pomniki, ryje na nich wielkie, historyczne imiona.

Historja domaga się odpowiedzialności tych, którzy ją tworzą. Pogłębiając się krytycznie i syntetycznie, dociera do źródeł wszelkich win i cnót, wszelkich pomyłek i zasług.

Niejedyn czyn, niejedna idea z biegiem lat na biera właściwej treści i wagi. Odpowiedzialność realizatorów historycznych czekać musi nieraz długo na sprawiedliwy sąd narodu i historii. Człowiek wielkiego ducha, wyprzedzający i przerastający swoje społeczeństwo, oplwany za życia przez współczesnych, — wieńczony bywa laurem przez potomność. Ileż krzywd, tym wielkim wyrządzonych, ciąży na sumieniu społeczeństw!

Czy winna temu intelektualna społeczna przeciętność, która się wznieść do wyjątkowej wysokości nie może, czy miernota społecznej duszy, która wybujałej wielkości ducha objąć nie zdoła, czy niska zawiść małości, która nie znosi wszystkiego, co ją przerasta — wszystko jedno: krzywda pozostaje krzywda i obarcza odpowiedzialnością społeczeństwo. J. V.



M. H. SZPYRKÓWNA

## ZAGADNIENIE POLSKIEGO KOPCIUSZKA

W ciekawem życiu dzisiejszem, gdzie szereg wartości przewartościowuje się w naszych oczach, odbywają się najprzedziwniejsze nieraz przemiany. I jak do innych dziedzin, odnosi się to również i do stosunków społecznych.

Uprzejmość w zwrotach osobistych stanowi, w porównaniu z sąsiadami ze wschodu, cechą naszą dość wybitną. Nie powiedziałabym, w myśl mego przekonania, że jest to uprzejmość istotna, płynąca z życzliwości wewnętrznej do drugiego człowieka, jak w krajach północnych i częściowo anglosaskich: ale — pewna formalna grzeczność.

Rosjanin, który powiedziałby do dorożkarza inaczej, niż: — Ty — był fenomenem. Polak zaś tytułował przeważnie i dorożkarza, i stróża — wogóle był tak dalece kurtuazyjny, aż moskale ułożyli o nim słynny kawał: że nawet o obuwiu w Polsce ludzie mówią pan-tofel! Odrzuciwszy ten naddatek, możemy istotnie się przyznać do pewnej zewnętrznej formalistyki towarzyskiej. A zwłaszcza wojna posunęła u nas — wbrew Bolszewji, z jej powszechnem „towarzyszu” — cały szereg sfer, dawniej niedostrzegalnych, na plan widoczny, co wymaga do nich ustosunkowania się zupełnie nowego, odpowiednio do nowych warunków — z wszechwładnym „panem dozorcą” na czele.

Otóż stawanie się niejako tych nowych „panów” jest kwestją pierwszorzędną ciekawości. Mało: jest ponadto i kwestją pierwszorzędną wagi dla dobrostanu państwa. Inaczej będzie wyglądała kamienica, gdzie „państwo” dozorczy polega na wzmożonym lekceważeniu lokatorów, a obniżonem zamiataniu podwórza, a inaczej tam, gdzie wyrazi się raczej w lepszym kształceniu dzieci i zmniejszonej ilości burd. Któregoś dnia słyszałam mimochodem takie uzalenie się obywatela - rzeźnika à propos policji i bandytów:

— Il Ja panu powiem, że jeżeli policajka nawet stróż się u nas nie boi, to co go miałby się bać złodziej? Dawniej, za moskala, niech ino stójkowy zadzwoni raz do bramy, to stróż, panie dobrodzieju, leci na łeb na szyję, mało (tu powiedział, o jakiej mianowicie części garderoby myślał) — nie pogubił a dziś? Phil Może sobie dzwonić, aż mu ręka zdrętwieje, a pan dozorca dużo sobie z niego robi! I ma tu być porządek, kiedy nawet stróż policjanta się nie boi?

Nie mam pojęcia, czy tak jest, co do policjanta, bo że tak jest zasadniczo, co do stróża, to raczej wiem. I właśnie byłaby to jedna sfera społeczna, o której przekształconem przez wojnę środowisku mało wiemy i pozostawiamy rzecz naturalnemu, jak to się mówi. biegowi — a nie zawsze jest on naj-

doskonalszym biegiem. Trzeba zauważyć, że w owym, jednopokojowym zazwyczaj, lokalu dozorczy mieszka cała rodzina z dziećmi często licznymi, i że te dzieci chodzą przeważnie do szkół, gdzie stykają się już, w miarę rozwoju, z innymi wymaganiami i innym porządkiem estetycznych i etycznych pojęć; że panna Mania należy do skautek i bywa na wieczorkach u koleżanek. gdzie tańczy z prawdziwymi panami z towarzystwa; a panna Józia ma kuzyną w teatralnej szatni, i skutkiem ułatwionych biletów chce zostać tylko artystką, i kocha się w Leszczyńskim. A po zaczarowanym wieczorze w balecie, czy teatrze Narodowym, i po zaczarowanej herbatce z prawdziwymi panami i paniami, panny Józie i Manie wracają do wilgotnej, a napalonej jak łaźnia, stróżówki pod schodami, czy w bramie, i muszą spać na skrzyni w ciasności i zaduchu, a rano na bosaka wynosić śmiecie i lecieć do sklepiku po drzewo w chuście na głowie i z koszykiem. Słuchać ordynarnych, ciężkich słów ojca i jazgotu matki i, niewątpliwie, mieć o tem wszystkim swoje zdanie. Więcej: mieć z powodu tego wszystkiego swoje cierpienia, bo czyż mogą nie cierpieć?! Są najtypowszemi odmianami nowoczesnego konfliktu społecznego, gdzie nowe formy dopiero się krystalizują i tworzą się w męce, jak wszystko, co się stwarza. Zależnie od tego, jak się ukształtuje to ich stawanie się społeczne, jaką pieczę społeczeństwo otoczy przybywającego nowego członka: od tego zależy, czy nowe dziecko wyrośnie na pożytecznego obywatela, czy na kalekę i zniekształceńca. I zawsze myślałam, że dla tych połowicznych inteligentek mamy stokrotnie zamało ognisk uświadczenia, zabawy, która nie wypacza i kultury, która nie przekracza ich zrozumienia: klubów społecznych, jakie są już, podobno, zapoczątkowane dla robotnic „Dzwigni”.

W Ameryce takich ognisk towarzysko-społecznych jest bardzo dużo — i naprawdę, znaczenie ich moralne stokrotnie przerasta spodziewanie i wynagradza koszta.

Drugim zagadkowym jeszcze kwiatkiem dzisiejszego stroju — a jest ich wiele, wiele — dla mnie zjawia się już pozornie o wiele wyżej stojąca na drabinie społecznej pracowniczka: panna sklepowa. Inaczej, tak zwana powszechnie w języku fachowym, ekspedjentka.

Jak córka stróża zapoczątkowuje niejako drabinę przekształceń społecznych pomiędzy inteligencją, a miejskim proletariatem pozarobotniczym, tak panna sklepowa ją niejako wieńczy. To już — arystokratka swojej dziedziny. Na ulicy niepodobna jej

odróżnić od kobiet, tak zwanych, z towarzystwa: jest szykownie, — często szykowniej od tychże kobiet — ubrana, ma specjalny sznyt w sposobie noszenia sukien — w sklepie ma główkę od fryzjera, piękne manicure, króciutką sukienkę najnowszego typu, wysokie pantofelki, odsłonięte ciekawie nóżki. Kiedy przebiega sklep konfekcji lub wielkiego magazynu, mężczyźni, towarzyszący kobietom, oglądają się za nią, a kobiety, wiele od niej bogatsze i strojniejsze, i przez nią właśnie obsługiwane myślą nie bez pewnej okruszynki zdziwionej niechęci:

— Skąd właściwie taka mała nabiera takiego szyku?

Z wyjściem jednak ze sklepu kończy się zainteresowanie małą — u kobiet. Bo u panów — bynajmniej. Miałam na ten temat bardzo pouczającą rozmowę z dyrektorką pewnej wielkiej firmy, której spostrzeżenia są naprawdę bardzo ciekawe dla profanki-klientki. Wyniosłam je niejako przypięte do mierzownej właśnie sukni.

— Naturalnie, że jest to sfera, z konieczności, niejako, przeznaczona na większe, lub mniejsze zdemoralizowanie się: pani ma słuszność.

Ekspedjentka zarabia przeciętnie mało — chyba, że już jest wybitnie wykwalifikowana.

To znaczy, mało, biorąc pod uwagę wiele potrzeb, jakie, dzięki swemu fachowi, mieć musi. Powinno jej starczyć na ostrzyżenie i ufryzowanie, na modną sukienkę i obuwie, na świeże zawsze dodatki: rękawiczki, pończochy, chusteczki, szale, korale.

W sklepie powinna być zachęcającą już na samo spojrzenie sylwetką, inaczej schodzi na szary koniec i nie ma nadziei wybicia się na wierzch.

A trzeba przecież wejść w psychologię dziewczyny, która obraca się właśnie wśród największego zbytku, nie mając sama nieraz na kupienie pary koniecznych dla niej pończoszek cieńszego, modniejszego wyrobu. Ociera się o najdroższe futra, topi ręce w jedwabiach i georgette'ach, oddycha zapachami najwyszukańszych perfum, ma codzien i aż do przesytu pokusę szafarki zbytku, która tylko rozdaje innym, nie mogąc wziąć!

Cóż dziwnego, że, o ile nadejdzie chwila i ktoś jej zaofiaruje możliwość zdobycia tych wszystkich cudownych, niedoścignionych rzeczy na własność, i to pod formą wyszukanej kurtuazji bywalców światowych, lowelasów ze złotej sfery: cóż dziwnego, że ulega?

Ze skusi ją perspektywa ubrania się w innej firmie tak, jak w swojej — sama ubiera klientki?

Ze zechce pojechać autem na szykowny dancing i kolację do Europejskiego Hotelu, czy do Oazy a potem — w Aleje, a potem — w dalsze ciągi?

Zamiast, po całodziennej mordędze i wymuszonym uśmiechu, wrócić do swojego pokoiku od podwórza, gdzie mieszka bądź sama, bądź z ubogą zwykle rodziną; wypić herbatę z kawałkiem mięsa z obiadu, zacerować pończochy na jutro, przeprać na miednicy podartą nieraz combinaison i położyć się spać z bezradną myślą, że jutro — będzie to samo? To ciężko! To czasem — zabardzo ciężko!

Czyż nie wiem, że klienci flirtują z ekspedjentkami? Ale o ile to nie wykracza poza pozory, nie mam w to ingerencji.

Bal Są nawet firmy, gdzie ekspedjentka o tyle jest dobrze widziana, o ile potrafi flirtować i w ten sposób przyciągnąć klienta — należy to do jej niejako fachu!

I wiem dobrze, że nieopodal naszych drzwi po siódmej zawsze flanują panowie, spoglądający, czy już ich „dziewczynka“ wychodzi. Ale pozasklepowe życie panny z magazynu — to już nie nasza rzecz! Nie możemy się w to wtrącać. Chyba, że rzeczy zajdą zbyt daleko zewnątrz. Gdybym jednak mogła stworzyć organizację, bo ja wiem?... towarzyską, która by tym dziewczynkom naprawdę dawała jaką taką radość i wypoczynek po całodziennej pracy, a nie rzucała je w objęcia ulicznej przygody: tobym uważała to za najdobroczynniejszy czynnik społeczny. Młode dziewczęta muszą się wybawić, muszą! A skoro nie mają żadnej organizacji normalnej, cóż dziwnego, że zabawa ta przybiera formę zdeorganizowaną i nienormalną?

I oto zadanie dla opieki społecznej nowopowstającego naszego państwa. Ach, wieleż mamy miejsca na Szare Siostry, czy Błękitne Siostry (nie mam na myśli zakonnice; tylko kluby towarzyskie) — aby zajęły się temi małemi Sandrillonkami w zapożyczonych krepdeszynach!

Zajął się właśnie teraz, zanim jeszcze są w stadium powstawania. Czyż nie jest w naszym, polskim, państwowym interesie, aby z tych lalczynek figurynek nie szykować materiału na produkt z literatury pana Decobry, gdzie każdej półinteligentce świeci, sądząc z jego ostatnich książek, tylko jedno wszechwładne hasło: — Tu seras courtisane?



ANNA SŁONCZYŃSKA

## O, W PRZYRODZIE SIĘ KOCHAĆ...

O! w przyrodzie się kochać: w jej czarach całe swe szczęście zamykać,  
nią upajać się, nią się uciszać, nią sycić wieczny swój głód!  
Świeży wiatr, ni to lód fruwający, szybko z powietrza połykać,  
a ciepłe słońce pić wolno, po kropki — jak najgęściejszy miód!

O, deptać ziemię twardą swą stopą, a wkrótce znów na jej sercu  
położyć się miękko, przytulić, przeprosić za każdy swój krok!  
Oczyrna stęsknionemi zawisnąć na zmiennym niebios kobiercu  
i głaskać tam nagi poranek, lub zmierzch, co otulił się w mrok!

O, zieloną z liści koronką ochraniać się od oślepięcia:  
zieloną, ruchliwą koronką, przetykaną przez światła nić!  
Gałęziom się rzucić w szerokie, mocne, jędrne, szorstkie objęcia,  
i czerwienią ust chciwych — w jaśminu bezbronnie usta się wpić!

O, smagać wiosłem krnąbrne morze, jak własnego rumaka batem:  
rumaka wierzgającego, co śmiercionośną objawia chuć!  
Słyszeć krzyk burzy, zakrwawionych chmur galopującej szkarłatem,  
i tuż tuż nad własną głową — sztylety jej podniesione czuć!

O, dawać się ułowić deszczom w ich srebrne, zimne, śliskie sidła,  
i ani pęt nie targać, ani nie wpadać w obrazę, lub w strach!  
Tęczę: najkolorowszego ptaka — oczyma za barwne skrzydła  
przytrzymywać, nim od ziemi oderwie się i zgaśnie gdzieś w mgłach!

O, z huraganami się ścigać, z huraganami bić, jak z wrogiem,  
póki grającej krwi w żyłach, póki w zadyszanych piersiach tchu!  
Albo na łonie ciszy się kołysać: na łonie, jak sen błogiem,  
aksamitniejszym od płatka róży, aksamitniejszym od mchu!

O, odurzać się zapachami, wzbierającymi suchą falą,  
nasyłanemi skądś niewidzialnie: nikt nigdy nie wie, skąd!  
Być oblewanym ukropem południ, gorących że aż palą,  
i ześlizgiwać się w głębokie cienie, jak w rzek ożywczy prąd!

O, cichy, słodki, modrooki księżyc witać ufnie, jak matkę,  
i iść bezwolnie, niby śpiące dziecko — w srebrzystą jego sieć!  
Z bijącym sercem, jak w własną śmierć, spadać w czarną mroków zagadkę,  
i pod gwiazd oczyma, jak pod spojrzeniem samego Boga, drzeć!!!



ADAM CZARTKOWSKI

## KSIĘŻNA ŁOWICKA

VII.

TULACZKA — ŚMIERĆ.

Tak samo mężnie zachowała się Księżna podczas rozpoczętego w d. 4 grudnia dwunastodniowego marszu wojsk rosyjskich za Bug, marszu tak uciążliwego i trudnego, nawet dla najbardziej wytrzymałego żołnierza, jakim jest rosyjski. Pani Tomaszowa Łubieńska donosiła w tym czasie w liście do ministra Feliksa Łubieńskiego: „Mówią, że księżna Łowicka ma dużo energii i że to ona zajmuje się wielu rzeczami...”

To panowanie nad sobą w tak trudnych czasach, ten wysiłek nerwów i energii opłaciła jednak wkrótce wielkimi cierpieniami i chorobą.

Ordynat Stanisław Zamojski, który ją widział 19 grudnia już w Adamkowie pod Brześciem, zanotował w swych wspomnieniach, że zdrowie jej dużo ucierpiało w ostatnich czasach i że „nerwy miała tak rozkołatane, iż chwilami trudno było zrozumieć, co mówi”.

Oczywiście warunki, w których przyszło teraz żyć Księżnie, stale niemal, jak to już zaznaczyliśmy, cierpiącej nawet w Belwederze, gdzie ją otaczały wygody wszelkiego rodzaju, nie sprzyjały polepszeniu się jej stanu. Musiała się wraz z mężem przenosić wciąż gdzie indziej, odbywać uciążliwe przejazdy po złych drogach i w najgorszą porę roku — pozbawiona najpotrzebniejszych rzeczy i jakich takich wygod. Do tego dołączały się ciągle obawy o zdrowie męża i stałe udręki moralne pod wpływem myśli o jego dalszym losie i o losie kraju, który, według niej, dobrowolnie runął w przepaść. Nic więc dziwnego, że na początku marca rozchorowała się obłożnie i tylko dzięki najtroskliwszej opiece Konstantego i przybocznego lekarza zaczęła w maju powracać do zdrowia. Znajdowała się wówczas w Białymstoku — gdy wtem przyszło jej przeżyć znowu szczególnie ciężkie chwile. Oto koło 20 maja W. Książę otrzymał wiadomość, że oddziały polskie pod wodzą Chłapowskiego zbliżają się do miejsca ich pobytu, i wobec tego musiał cofnąć się do Słonima. Ale i tu znowu nie mogli się Księstwo zatrzymać. Bo oto Chłapowski zbliżył się i do tego miasta, i znowu trzeba było uchodzić. Prączyński twierdzi, że „pomiędzy fortelami, użytymi przez Chłapowskiego, było podobno także zawiadomienie księżny Łowickiej o zbliżaniu się na czele znacznej siły; radził jej zatem, ażeby się spieszenie usunęła od teatru wojny. Konstanty nie omieszkał usłuchać tej rady, zapakował się i drapnął ku Witebskowi“ (28 maja). Cofnięcie się — trzeba zaznaczyć — było tem szybsze, że w Sło-



*Księżna Łowicka według litografji nieznanego autora*

nimie zjawił się jeszcze jeden wróg, mianowicie cholera, i że Książę słusznie obawiał się jej dla żony, wycieńczonej długą chorobą.

Co za wzruszenie musiało w tych chwilach ogarniać Księżnę! Oto mąż ukochanej jej siostry zagrażał jej mężowi, do którego się przywiązała, którego pokochała. Dwaj bliscy jej ludzie mogli lada chwila zerwać się orężnie, i conajmniej jeden z nich mógł być rannym, lub dostać się w niewolę drugiemu.

Coprawda, jak wynika ze słów Prączyńskiego — generał Chłapowski świadomie unikał tej ostateczności. Księżna jednak o tem nie mogła wiedzieć — a zresztą, pomimo najlepszej woli dowódców, na wojnie wypadki mogą pójść ponad nią. Słabe zdrowie Księżny nie mogło tego znieść bez ujemnego skutku — jakóż załamało się znowu. Przybywszy do Mińska dnia 3 czerwca, gdy zasiadła do listu do matki, aż dwie godziny — jak sama wyznaje — musiała się nad nim namęczyć, poczem wpadła w paroksyzm

febryczny. Paroksyzmy te zaczęły się powtarzać raz po raz—tak, że gdy 15 czerwca tułająca się para znalazła się w Witebsku, W. Księżę, zaniepokojony stanem żony, sprowadził na swój dwór jeszcze jednego lekarza. Oddalenie się od teatru wojny i zabiegi lekarskie pomogły. Zdrowie Księżny zaczęło się znowu poprawiać, zaczęła nawet z mężem wyjeżdżać na spacer, gdy wtem — jak grom z jasnego nieba — spadł na nią cios najcięższy. Oto 27 czerwca g. o 7 i pół wieczorem, po kilkunastu godzinach cierpień, zmarł na cholere jej mąż — jedyny bliski człowiek, którego miała przy sobie, jedyna w obcym kraju i wśród obcych ludzi podpora i opieka.

Noc listopadowa usunęła ją z kraju, pozbawiła dachu nad głową i skazała na tułaczkę, a ten czerwony wieczór odebrał jej to wszystko, co jej zostało, i rzucił, jak liść oderwany od drzewa, samą jedną w odmet obcego świata...

Zdawałoby się, że ten cios, ze wszystkich najboleśniejszy, powinien skruszyć odrazu tą schorowaną i wątłą kobietę. Tymczasem znowu zupełnie niespodzianie, po raz drugi już w ciągu roku, w chwili katastrofy znalazła w sobie dziwną moc duszy i odporność. Nie zemdlała, ani wpadła w spazmy w chwili śmierci męża, „w niemem odrętwieniu padła na kolana przy jego łożu śmiertelnem i w tym stanie przetrwała przeszło kwadrans“, aż ją komandor Kołzakow uprosił, by powstała i udała się do siebie. Gdy po uporządkowaniu papierów W. Księcia, ten stały towarzysz jego udał się do Księżny, zastał ją pogrążoną w cichym smutku. „Cios, który ją spotkał, znosiła jak prawdziwa chrześcijanka“ — notował później w swym dzienniku — i nie omylił się. Była chrześcijanką żarliwą, wierzyła gorąco, z głębi duszy — i właśnie religja dała jej moc i odporność w chwili najcięższej.

Towarzysząc mężowi za życia, postanowiła nie rozdzielać się z nim i po śmierci. Symbolicznym odruhem obcięła sobie swe bujne, piękne włosy i włożyła je do trumny, w której spoczywało zabalsamowane ciało Konstantego. Uprosiła Mikołaja I o pozwolenie towarzyszenia konduktowi pogrzebowemu, który w miesiąc po śmierci W. Księcia ruszył powoli ku północnej stolicy — a podczas smutnego pochodu, gdy przyjdzie zatrzymać się na nocleg, ciągle ma na oku trumnę, która w tym celu stale jest umieszczana w namiocie pod oknem jej chwilowego mieszkania.

W połowie sierpnia stanęła wierna małżonka nad Newą. Tu, w Gacznynie, gdzie się pochód na dłużej zatrzymał, spotkała się z bratem męża, srogim Mikołajem, z którym natychmiast aż dwugodzinną odbyła rozmowę. Nie znamy dotąd żadnych pewnych danych o treści tej rozmowy. Prądzyński słyszał z ust trzecich, czy czwartych, że pono zbolała Księżna gorzkie czyniła wymówki Carowi za to, że kazał otruć

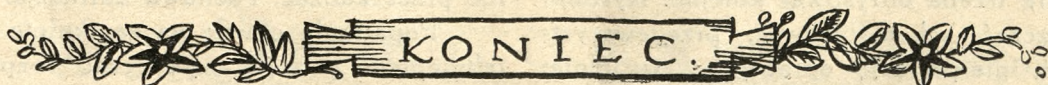
Konstantego, — Mikołaj zaś ze słowami: „Elle est folle!“ miał wybiec z jej pokoju. Miała słyszeć to wszystko ukryta za parawanem panna służąca Księżny; czy jednak tak było istotnie, nie umiemy powiedzieć z pewnością. Legenda o otruciu Konstantego przez przysłanego z Petersburga Orłowa krążyć zaczęła natychmiast po witebskiej katastrofie, przetrwała nawet do ostatnich czasów w rodzinie ks. Lwowów, potomków Pawła Aleksandrowa; trudno jednak coś pewnego w tej sprawie powiedzieć. Może tak, a może i nie — zostanie to nazawsze nierozwiązaną zagadką — przeciw zaś takiej treści pierwszej rozmowy Księżny z Carem przemawiają fakty, własną jej ręką zapisane — a mianowicie codzienne odwiedziny u niej Mikołaja i całej rodziny cesarskiej — jak również ton listów do matki i siostry, w których z uznaniem i wdzięcznością mówi o staraniach, jakimi ją Car i jego rodzina otacza.

Złożywszy drogie szczątki w katedrze Piotra i Pawła w fortecy tegoż imienia i zabawiwszy jeszcze dni parę w pałacu Jełagińskim, osiadła w końcu sierpnia osierocona Księżna w Carskiem Siole, gdzie otoczenie całe jest znacznie zdrowsze od warunków stołecznych. Lecz tak, jak po smutnych dniach warszawskich przysłała choroba marcową, tak i obecnie rychło, bo już w dni parę później, nastąpiła nowa reakcja.

Zwątłe ciało zwyciężyło w walce z mocą duszy: dnia 1 września zapadła Księżna w nową chorobę — tym razem już ostateczną. Nie pomogły zabiegi najlepszych lekarzy, najczulsza opieka i największe wygody... siły watały coraz bardziej. Czuliła sama, że zbliża się kres wędrówki ziemskiej; ze spokojem jednak oczekiwała go — a nawet oznaczyła dzień, kiedy duch porzuci doczesną powłokę. — Wiedziała, że nie przeżyje pierwszej rocznicy wypadków warszawskich; czuła, że nie wystarczy jej sił na przeżycie tych, pod każdym względem smutnych i bolesnych wspomnień. Niestety, w zupełności sprawdziło się jej zdanie o wyniku powstania! na skutek tych zająć straciła męża — czyż mogła nie umrzeć w dniu i w godzinie, które były końcem najcięższego, najtragiczniejszego roku jej życia?

Daremnie na rozkaz Mikołaja sfalszowano kalendarze, znajdujące się przy niej; daremnie podtrzymywano gasnące siły — dnia 29 listopada 1831 r. o godzinie 7-ej wieczorem cicho i z radością zamknęła powieki na zawsze Joanna z Grudzińskich ks. Łowicka.

Nie była to bohaterka, która się wslawiła wielkopomnymi czynami, błyszczącymi na niebie historii fosforycznym blaskiem; przeżyła jednak życie bez skazy, zostawiwszy po sobie wspomnienie czyste — dobrej chrześcijanki i dobrej żony, w naszych sercach budząc współczucie dla tej istoty, co w najcięższych chwilach swego życia potrafiła wykazać wszystkie zalety polskiej kobiety.



MAX WIT

2.

## PROFESOR

— To ona — przypomniał sobie z najwyższym niezadowolaniem.

Zegar wybijał poważnie ósmą.

— Proszę!

Różowa i świeża wsunęła się do pracowni, zręcznie omijając aparat mikrofotograficzny i dwie etażerki z akwarjami.

— Dzieńdobry panu profesorowi!

— Dzieńdobry — odburknął sucho. — Oto pani miejsce, tu przy stole, z tej strony. Tamten binokular może pani przenieść na swoje miejsce. Preparaty są w pudełeczku obok mikroskopu. Trzeba odrysować.

Wsunął się głębiej w fotel i kończył przeglądanie korespondencji. Pozostawiona sama krzątała się, jak mysz, po pokoju. Zrzuciła kapelusz, poprawiła nieznacznie włosy, zwichrzone, jasne. Przydźwigała mikroskop, rozłożyła arkusz papieru. Ściągnęła rozchylone usta, i przyciskając między wargami koniuszki języka, z zajęciem i wprawą odrysowywała widziane kontury.

Cisza, cięta szelestem przekładanych kartek, broszur i listów profesora, cieniowana suchym zgrzytem twardego ołówka dziewczyny, wypełniła znowu gabinet.

Zachwycał się sprawozdaniem z prac amerykańskich. Mikrodissekcja.

— Kapitalne! muszę poznać bliżej tę metodykę. Zagadnienia cytologiczne otworzą wrota zamknięte na siedem pieczęci, taka aparatura...

Nieuchwytny, nowy zapach; skrzypnięcie suchej podłogi. Stała przed nim, nie śmiejąc przerywać lektury. Rysunek.

— Odrysowałam tego pasorzyta, proszę.

Wziął arkusz. Hm, rysunek wcale niezły; Jeżowicz nie narysowałby lepiej — był prawie zgorszony.

— Gęś, żeby tak ładnie i rozumnie rysował przypadki, czy umiejętność? — Z poza papieru spojrział na nią podejrzliwie. Wpatrywała się weń z napięciem, pełnym oczekiwania i prośby. W oczach zapalały się i gasły ogniki tłumionej wesołości, pokrzyki triumfu. Wiedziała, że jest dobrze, że musi być dobrze. — Ale on, kto wie?! — Nareszcie otwiera usta. Boże jedyny! Chrząknął:

— Nienajgorzej, rysuje pani niezłe. Mam szereg preparatów, które trzeba odrysować kolejno. Rysunki możliwie upraszczać, schematyzować, przede wszystkim odrysować, interpretację opracujemy wspólnie;

o rzeczy niezrozumiałe proszę pytać i głupstw nie rysować — zatarł surowo.

— Miejsce, sędzę, że wygodne; jeśliby coś pani potrzebowała, proszę się zwrócić do Mikołaja.

Chciał jej dać do zrozumienia, by nie zawracała mu głowy drobnostkami, związanymi z urządzeniem; poza tem sprawa przyjmowała nieprzewidziany obrót.

Primo: nie spóźniła się, secundo: rysowała doskonale, tertio: możliwość pozbycia się jej zmalała o 75% — wyliczył odrazu.

Najgorsze było sąsiedztwo kobiety w jego własnej pracowni. Sam przez się fakt ten pozbawiał go równowagi; stwierdzał to, niestety, z całą brutalnością. Ilekroć podnosił wzrok z nad książki, tylekroć musiał widzieć opadający na czoło kosmyk podstrzyżonych włosów, koniec nosa i wydęte z wysiłku i uwagi usta, kryjące się poza rurą mikroskopu. Ironja losu wtłoczyła mu tę gęś do zaccisza gabinetu, i nie umiał się jej pozbyć. Nie mógł odżalować, dla czego wywiesił ogłoszenie i dla czego jej odrazu nie odpalił z niczem.

— Wszystko przez tego obrzydliwego Jeżowicza! Gdyby wrócił na czas, nie miałbym tego całego kramu i niepokoju. Wyszukałby rysownika bezemnie, byłby z pewnością mężczyzna, i wszystko w porządku.

Te smutne rozważania bynajmniej nie wpływały kojąco; cała praca przed południem spęzła na niczem. Żle.

O trzeciej zamknął książkę. Dziewczyna wciąż rysowała, starannie wyciągając linje. Miała cień powagi na młodej twarzy. Starła się. Zależało jej na każdym motywie oglądanego i rysowanego preparatu. Musiała przekonać dziwaka, że praca kobiety jest coś warta; to był jedynie skuteczny sposób: tylko czyn.

— Tylko czyn! — powtarzała sobie z uporem.

Nachylił się nad nią i patrzył na szkice. Pomrukiwał nawet dobrotliwie, z uznaniem:

— Wcale dobrze. Ten zupełnie dobry; tu gorzej; nieznaczny błąd tu i tu, — pokazał palcem. Nakreślił grubą strzałę swym czerwonym ołówkiem — poprawić. — Po obiedzie omówimy szczegóły. — Wziął kapelusz.

— Proszę zamknąć drzwi na klucz — przypomniał, kładąc klucz na stole — oto dla pani.

Cicho, starannie, przyknuł drzwi za sobą, żeby nie przeszkadzać. Fachowa kurtuazja.

Popatrzała chwilę na zamknięte drzwi i z westchnieniem poczęła wykańczać rozpoczęty rysunek.



Bolała ją trochę szyja z ciągłego przeginania głowy, ale właściwie była zadowolona: wszystko zapowiadało, że przekonała dziwaka. Skończyła.

Sprzątnęła stół, ułożyła mimochodem rozrzucone papiery. Broszury tutaj, obok notatki, wycinki i duże zapisane arkusze rozprawy o „Glistnicach“. Przyjrzała się z zadowoleniem stertom papieru. Wszystko w porządku, mogła wyjść. Wreszcie odetchnęła za drzwiami.

— Doprawdy, trudna była dzisiaj przeprawa! ale co mi tam! przyzwyczaję się. Jak na początek, nie jest staruszek zbyt uprzejmy, ale przekonam go!

### III.

Pływały dnie podobne do siebie, bezbarwne, wysyczone systematyczną pracą. Przyciśnięci do dwóch brzegów tego samego biurka, lub stołu roboczego, rozmawiali bardzo mało. Fachowe uwagi, strzałki czerwonym ołówkiem, podkreślenia, wyjaśnienia. O tych samych godzinach przepisowych wychodzili lub wracali cicho, starając się nie przeszkadzać sobie, czynili swoje.

Mniej pracował badawczo, sumował obserwacje, grupował przytaczanych autorów, polemizował. Gdy dowiedział się, że pisze na maszynie, dyktował jej ważniejsze ustępy, przesyłane do druku. Wbrew jego przeświadczeniom na temat kobiecych zdolności, udawała jej się praca, robiła wszystko niegorzej od Jeżowicza, nawet w drobnostkach staranniejsza, sumiennie wykańczała rysunki. Z dnia na dzień, kropla po kropli uderzała w opokę przesądów profesorskich, złobiła w nich kręte korytarze, zakradała się cudownie w subtelny splot jego tkanek mózgowych, wywalczała uznanie. Bronił się z uporem starego konserwatysty, zapleśniałego w przesądach i utartych opinjach. Lecz zacięcie topniało jakoś wbrew woli, poprostu, ulatniało się. Chwilami, gdy z poza książek i zapisanych arkuszy zamyślonemi oczami ogarniał pokój, zatrzymywał spojrzenie nad pochyloną przy mikroskopie głową, gdzieś—w załamkach wąskich, suchych ust zjawiała się podejrzana zmarszczka uśmiechu, coś, w rodzaju grymasu, znanego jedynie Jeżowiczowi, po którym określał kategorycznie:

— Stary jest w humorze.

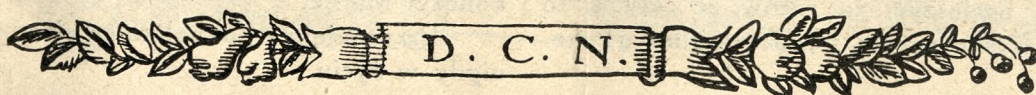
Najważniejsze, że się przyzwyczał, niewiedzieć kiedy i jak, do obecności dziewczyny; zaczynał, o zgrozo! traktować ją nawet, jako coś niezbędnego. Gdy zegar wydzwaniał ósmą, odwracał głowę od notatek i oczekiwał jej lekkiej sylwety w snopie świetlistym wczesnego, porannego słońca, wdzierającego się bez zaproszenia w mrok profesorskiej pracowni.

Nie przychodziła sama, Wprowadzała za sobą zapach wiosny i świeżość młodości. Wsłuchiwał się w jej krzątanie zapobiegliwą, poprzedzającą całe godziny sumiennej, milczącej pracy. Na chwilę odbiegał od zapisanych swym drobnym pismem arkuszy i przypominał pierwszą wizytę: wylaną fuksynę, zaplamiony ręcznik i plamę, której krwawy ślad pozostał jeszcze na stole, niby spłowiła pieczęć przeszłości; a przecież zaledwie dziesięć dni dzieliło go od tej przykłej chwili. Zrastała się z pracownią, była żywym okazem kobiety, objektem najmniej znanym, istotą rodzaju, o którym wypowiedział wiele uszczypliwych uwag w długich i gorących dysputach z Jeżowiczem. Była bezwarunkowo objektem ciekawym i obserwował ją, jak nieznaną, nowoodkrytą zwierzę. Stosował swe ściśle, niezależne, indukcyjne metody. Zasada Mill'a—pamiętał,—indukcja—oto jedyna droga. Zachowanie się obiektu, warunki, środowisko—oto czynniki kształtujące. Zmienność, tak, zmienność; należy uwzględnić wypadki wyjątkowe, mutacje; także, rzecz prosta, w metodyce unikać błędów.—Postępował tak, jakby nie było języka, słowa, terminy odrzucał à priori.

— Jeśli stworzę sąd, oparty tylko na słowach, będę się mylił, jak ci wszyscy, którzy syllogizm przekładają ponad fakt. Muszę być ostrożny, przewidujący.—W milczącej obserwacji gromadził fakty.

— Mam żelazny materiał,—myślał z zadowoleniem. — Żelazny materiał — to były owe dziesięć dni w pracowni. Popełniał właściwy wielu przyrodnikom błąd: uwzględniał warunki doświadczenia i obserwacji, zakresłone środowiskiem pracowni, zapominając, iż ma do czynienia z ułamkiem życia swego „preparatu“. Gdyby go zapytano: — Kto u Pana pracuje?—byłby w kłopotcie. Wszak nie znał ani imienia, ani nazwiska swej pomocnicy. Wymieniała je przecież, ale nie zwracał uwagi: — były to terminy bez znaczenia. Fakt, to ona — kobieta. Mikołaj nazwał ją „panienką“, więc była panienką, oczywiście; aczkolwiek jego własne kryterja tego momentu nie uwzględniały i były biedniejsze pod wieloma względami od zasobu faktycznego materiału, którym rozporządzał Mikołaj.

Panienka sprzątała starannie pracownię, porządkowała papiery „Psora“, nawet wycierała kurze, gdy „Starego“ nie było. Oczywiście, Mikołaj nie śpieszył się z informowaniem o tych wyczynach nowej pracownicy, cenił to ze zrozumieniem praktyczności. Ponadto przynosiła papierosy, no i złotówka, wsunięta po pierwszej wizycie, także nie od parady. A grzeczna, to aż miło! nie inaczej, tylko: — Kochany panie Mikołaju, cóż tam nowego piękny dzień mamy — Panie Mikołaju drogi, proszę o ściereczkę! Dziękuję!



W. MIŁASZEWSKA

19

## KACZĘTA

(powieść)

Druga wybiła. A Stasia ani widać. Pójdę, położę się, choć wiem, że oka nie zmruję. Boże miłosierny, miej w opiece nasz dom i Polskę, a przede wszystkim — Stasia! Żeby mu się nic złego nie stało!.. Żeby już wrócił!..

12 listopada

Stasia niema dotychczas, a w domu sądny dzień nastał... Tomasz twierdzi, że Staś napewno ratusz razem z akademikami zdobywa, a Teofil!.. Ale już nawet nie chcę powtarzać, co ten człowiek na własne dziecko wygaduje!

— Przez tego chłopaka — powiada — z torbami wszyscy pójdziemy! On mi tu Niemców na kark sprowadził! Przez rodzony synalka do kryminału trafię! Ale już ja się z nim rozprawię, niech tylko wrócił!..

Jezu miłosierny, niech tylko wrócił! Tomasz mię uspokaja, że Staś napewno siedzi w ratuszu i nawet żartował, że powinnam mu obiad zanieść, bo się pieścioszek przegłodzi. Że też się tego Tomka żarty jeszcze trzymają! Bo nawet Adelka chodzi, jak struta: powiedziała dziś rano, że jej się śnił Staś przestrzelony... Ta Adelka, to też miła siostrzyczka! Żeby takie sny do głowy dopuszcząć... Ale jak Staś do wieczora dzisiaj nie wróci, to chyba oszaleję... Oj, moja głowa, moja głowa! Oj, te moje dzieciaki... Co ja mam przez nich! Co one wyrabiają! I co się dzieje na świecie! Marczyk dziś całe rano flower czyścił, co go dostał od ciotki Ameiki na imieniny. Mówi, że w takich czasach wszyscy powinni być w pogotowiu. Kochany bąk! Ale żeby choć jemu do głowy nie przyszło!..

Ktoś dzwoni. Lecę. Może Staś!

13 listopada

Jest Staś! — wrócił dziś rano, szerniały, ledwo na nogach się trzymał, a brudny! Tej koszuli to już chyba Walerka nie dopierze bez chlorku.

Przyszedł z karabinem, a jakże. W przedpokoju go, jak parasol, postawił i krzyczy:

— Ciociu, na miłość boską, jeść!

Rzuciłam mu się na szyję i w bek. Boże drogi, jakiej ja się przez niego zgryzoty najadłam! I pomyśleć, że naprawdę Adelce mogło się wyśnić... Czy to możliwe, żeby takiemu chłopcu mogło się stać co złego? Dotykałam jego głowy, ramion, rąk... Nic, ani plamki krwi, tylko ubranie, jakby psu z gardła wydarł! Nie mogłam się nacieszyć, że zdrow, że cały, a to niedobre chłopaczysko śmieje się, oczami mruga wesoło i woła:

— Co mię tak ciocia ogląda i obmacuje? Żebra mam całe, tylko jednego mi brak.

— Żebra ci brak? — Jęknęłam i aż mi w skroniach zadudniło.

A ten łobuz kochany kończy ze śmiejącymi oczami:

— Tego, wie ciocia, co to Bóg z niego kobietę stworzył!..

I jak mię nie porwie w ramiona, jak nie okręci w kółko!.. Zupełnie oddech straciłam.

Zjadł potem wszystko, co tylko miałam w kredensie, i zaraz położył się spać. Przyniosłam mu do pokoju wodę, ręcznik i mydło. Pozbierałam ubranie, bo je rozrzucił po wszystkich krzesłach, i jęłam wypytywać, gdzie był tak długo.

— W ratuszu — odparł, ziewając

— Cóż tam robił?

— Wąchałem przez dziurkę od klucza, jak pachną popalone niemieckie pieniądze... Aa... a! Niech ciocia idzie już... Potem cioci opowiem...

— Chyba nie strzelali do ciebie, Stasiu, co?

Ale nie odpowiedział, bo już spał. Wyniosłam się z pokoju na palcach i drzwi cichutki przymknęłam, choć jestem pewna, że gdyby z armat strzelali, teżby się nie obudził.

Teofil jakoś przycichł. Może się namyslił, że nie warto ze Stasiem w spory się wdawać, bo Staś i tak co zechce, to zrobi — ojca się nie poradzi... A może i zmiarkował Teofil, że z Niemcami koniec. Słyszałam dzisiaj po obiedzie, jak mówił do Tomka:

— ... Tylko niebardzo widzę, jak teraz będzie. Z moskałem człowiek sobie dawał radę, z Niemcem — też. Ale tych polskich rządów, to ja się trochę boję...

— E — odrzekł Tomasz — ma też sobie ojciec czem głowę zaprzętać!.. Brakowało towaru, to ojciec zarobił, a jak się towar znajdzie, także ojciec przecie nie straci!..

Więc już wszyscy, wszyscy o polskich rządach mówią głośno! Nawet Teofil... No, no! Żeby tylko Staś o tem wojsku zapomniał, a wrócił do politechnik!..

15 listopada

Aha! zapomniał Staś o wojsku! Właśnie dziś dowiedziałam się — i to od Marka, — że Staś już w polskim wojsku służy i pewnie wkrótce pójdzie na front.

— I ja także pójdę! Wszyscy pójdziemy — do końca! Marek.

Przyznaję, że huknęłam na niego ostro, jak chyba nigdy w życiu.

— Do szkoły pójdziesz, smarkaczu! a jak będziesz takie głupstwa plótł, ojcu powiem, zobaczysz!

Nigdy chyba nie zapomnę tego spojrzenia.. Matko Najświętsza, jak ten chłopiec na mnie popatrzal! Przybladł trochę i ani słowa nie odpowiedział, tylko te swoje gały ogromne we mnie wlepił.. Wolałabym, żeby się był rozplakał, jak to dawniej bywało, kiedy go kto ofuknął.

Te dzieciśka za prędko rosną, za prędko!.. Nawet Marek, mój mały Marek, com go tak niedawno na rękach jeszcze nosiła, teraz już mi się z rąk wyrył! Minie rok — minie dwa — i ostatnie moje piskłę w świat pójdzie, na szerokie wody popłynie, a ja na tym brzegu zostanę, sama jedna, samiutka, jak ta kwoka, co wywiodła kaczetą!

Często, gdy tak wieczorem przy lampie siedzę nad tym moim dziennikiem, różne myśli snują mi się po głowie. W domu cicho, jak makiem zasiał, czasem tylko stary mebel zaskrzypi, albo z sypialni Teofila doleci głośniejsze chrapanie, albo Marek jęknie przez sen... I znów cicho, jakby żywego ducha nie było. Wtedy zaczynam o tych moich dzieciśkach najdroższych całe historie układać. Staram się naprzód odgadnąć, co z nimi będzie w przyszłości. O Tomka jestem spokojna: Ten z pewnością sklep po ojcu obejmie, rozszerzy go, pieniądze prędko zrobi. Już on do tego ma szczęście! Głowębym także dała, że się prędko ożeni, tylko pewno nie z tą swoją Janinką, ale choćby nawet — to i cóż? Może ona ma naprawdę serce dla niego, a jak kobieta pokocha, to już z niej wszystko najgorsze, jak liść zeschnięty, opadnie — będzie i żoną dobrą, i matką, i swemu wybranemu nieba przychyli. Będzie więc Tomasz miał wszystko, czego ludzie pragną i za czem gonią: pieniądze, stanowisko, dom własny...

O Stasia trochę się boję, bo to gorączka. Jego życie napewno nie popłynie tak gładko, choć Staś do ludzi ma szczęście. Szorstki on jest trochę, zanadto gwałtownie każdą rzecz bierze do serca, ale serce ma zato, jak kryształ! Nicbym się nie zdziwiła, gdyby Staś czynów hohaterskich dokonał, wybawił kogo od śmierci, albo w tem swoim wojsku specjalnie się odznaczył. Jeszcze dawnymi czasy, gdy był zupełnie małym chłopcem, niczego nigdy się nie bał. Nieujężonego żrebaka dosiąść, albo na staw się w balji wyprawić, albo z daszku kopytowskiej oficyny na ziemię skoczyć, — to dla niego fraszka. Ile on guzów na głowie sobie nabił, ile razy kolana i łokcie do krwi zadrapał! — a zawsze wyszedł cało. Już on jest taki: niebezpieczeństwa się nie boi, a jak mu się co przytrafi, to na cztery łapy spadnie, niczem kot. I wszędzie, zawsze jest pierwszy. Między kolegami rej wo-

dził, a gdyśmy dla Adelci urządzili wieczorek z tańcami, to trzeba było widzieć, jak się uwijał! Ze trzy godziny tańczył bez odpoczynku, a panienki za nim oczami goniły, i byłby wszystkim głowy pozawracał, gdyby chciał.. Tylko że Stasiowi kobiety ani w głowie! Ma on swoje ćwiczenia, swoich skautów, swoje tam różne sporty, a na spódnicę ani spojrzy.

Za to Adelcia umie zerkać na mężczyzn, oho! Skąd jej się to wzięło, doprawdy w głowę zachodzę! bo ani Teofil nie był romansowy, ani, tembardziej, Antolka. A tymczasem nasza Adelcia o niczem innem nie przemyśliwa, tylko o chłopcach. Już ja to dobrze widzę i oddawna. I teraz, zdawałoby się, że jej tak oczy błyszczą z radości, że Polska powstaje! Aha, właśnie!.. Ułani po ulicach jeżdżą, akademicy z karabinami maszerują, to dlatego i Adelcia musi po Nowym Świecie w nowym kostjumie spacerować...

Adelcia zawsze powtarza, że zamąż prędko wyjdzie i to koniecznie bogato, bo inaczej nie warto.

— Muszę mieć własny samochód — powiada — i zagranicę jeździć, do Włoch i na Riwjerę, albo jeszcze gdzie dalej. I suknie będę sobie sprawiała w najlepszych magazynach; zobaczy ciocia, jak mi będzie do twarzy w prawdziwych perłach...

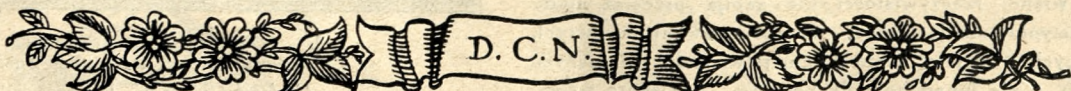
Bardzo pięknie. Tylko gdzie ona tego męża znajdzie, żeby jej wszystkie zachcianki spełniał? Chociaż, kto wie? Za moich młodych lat marzyły młode dziewczęta o królewiczach, albo chociaż o hrabiach, którzy z miłości wielkiej swoje nazwisko i majątek z niemi podzielał! Dzisiaj zmieniły się czasy. Hrabiowie często goli, w długach siedzą po uszy, albo i całkiem fortuny przez tę wojnę potracili, ale pojawiły się inne krezusy: niejeden mydlarz kabzę niezgorzej nabił, niejeden ptak niebieski, taki, co to ni orze, ni sieje, dorobił się fortuny na giełdzie. To pewnie Adelka o takim mężu myśli.

Dziwna dziewczyna! Często mi się wydaje, że jej zupełnie nie rozumiem, często aż mnie dreszcz przejmuje, słuchając, co ta sroczka paplać potrafi!

Mówi, naprzykład, tak:

— Mnie tam wszystko jedno, czy mężczyzna przystojny, czy do małpy podobny, byleby był bogaty. Jabym nawet za żyda poszła, jakby miał dużo pieniędzy... Z ładnym chłopcem przyjemnie poflirtować, ale biedę z nim klepać na poddaszu, czy w suterenie... Brr!.. Gdybym nie wyszła zamąż bogato, zostałabym aktorką. Miałabym napewno i sławę, i pieniądze, i powodzenie wielkie, a kwiaty toby mi całemi koszami na scenę przysyłał!..

Plecie tak, plecie i podkpiwa ze mnie, gdy się na takie słowa przeżegnám.



KRONIKA PLASTYCZNA



Z wystawy czechosłowackiej w Zachęcie  
Sursa Jan — „Raniony”

W salach „Zachęty” odbyła się druga z kolei w ciągu pół roku wystawa dorobku artystycznego w dziedzinie plastyki kraju obcego. Tym razem wystawa powinna być dla nas tembardziej interesująca, że reprezentuje sztukę jednego z pobratymczych narodów słowiańskich.

Wystawa czecho-słowacka obejmuje malarstwo, rzeźbę, architekturę — sztuka zdobnicza reprezentowana tylko przez kilka gobelinów. Retrospektywny charakter wystawy i bezstronne, jak się wydaje, obesłanie wszystkich kierunków artystycznych, pozwalają na wysnucie pewnych wniosków ogólnych, dotyczących sztuki czeskiej — i na zaryzykowanie pewnych prób przeprowadzenia analogij i — różnic — w związku z naszą sztuką.

Zasadniczą cechą malarstwa czeskiego, pomijając może skromne liczebnie, w stosunku do całej sztuki, malarstwo najmłodsze — wydaje się być przedmiotowość. Przedmiotowość, nie w sensie wiernego oddania przedmiotu, — ale w sensie, jeśli się tak wolno wyrazić, *jedynowładztwa*, despotycznego rozpanoszenia się przedmiotu. A to wielka różnica. Bo jeśli nawet przyjąć, że malarstwo całego zeszłego stulecia, aż do impresjonizmu, interesuje się tylko przedmiotem, względnie pewną anekdotą, krążącą dokoła niego — to nie wolno przecież zapominać o tem, że u prawdziwych artystów — jakimi są francuzi, czy włosi — ta wierność wobec przedstawianej rzeczywistości nie zabija przecież nigdy najgłębszego instynktu malarskiego, wyczucia owych swoistych praw, stanowiących o takim, a nie innym powiązaniu płaszczyzn i form — o takim, a nie innym zespole kolorów. Ale skoro mówi-

my o przedmiotowości sztuki czeskiej, mamy na myśli usunięcie przez przedmiot wszelkich autonomicznych zagadnień malarskich w cień. Niewiadomo, co tu jest przyczyną: aprioryczne rozumowanie nastawienie się artysty w tym kierunku, czy też, poprostu, pewien brak przyrodzony owego instynktu, który w tak wysokim stopniu posiadają szczęśliwe narody południa. Obawiam się jednak, że druga hipoteza jest prawdopodobniejsza. I tu możnaby znaleźć, niestety, pewną łączność sztuki czeskiej z naszą. Ten brak wyczucia koloru, ubóstwo faktury, którą, mimo wszystkich zastrzeżeń, musieliśmy podziwiać niedawno u węgrod — mimowoli nasuwają smutne wnioski o pewnych zasadniczych brakach, wspólnych w tej dziedzinie całemu malarstwu słowiańskiemu.

Zdawałoby się, że impresjonizm — to królestwo koloru, koloru i tylko koloru — powinien choć w części zrównoważyć potokiem swych barw poprzedzającą szarzyznę. Ale i tu spotyka nas pewien zawód. Największy impresjonista czeski, Antonin Slaviček reprezentowany jest przez trzy zaledwie obrazki. Na innych — znać wybitny wpływ impresjonizmu monachijskiego, który jest właściwie „pseudo-impresjonizmem” — ze swym brunatnym podkładem i zniweczeniem przez to najbardziej zasadniczej cechy impresjonizmu francuskiego: owej świetlistości, błyskotliwości, bezwzględnej czystości tonów barwnych.

Jeżeli na sztuce czeskiej, aż do Wielkiej Wojny, znać bardzo silne wpływy niemieckie, to całe zato młode pokolenie idzie najwyraźniej za Francją. Wpływy francuskie znać i u najciekawszych, jak Filla i Kotik. Założenia formalne, nieraz bardzo szlachetne, niezawsze jest rozwiązywane udatnie — nagół jednak przejawia się w tych pracach duża kultura i przedewszystkiem niezmiernie sumienne i poważne traktowanie zagadnień. Nasi artyści, posiadający może więcej rozmachu od Czechów, powinni by jednak ową sumiennosc i rzetelnosc pracy dobrze sobie zanotować.



Z wystawy czechosłowackiej w Zachęcie  
Grabinsky Maks — „W pracowni”

Z pośród rzeźb czeskich, znajdujących się na wystawie, — poza pracami Jana Stursy, mocnymi w formie i pełnymi bardzo głębokiej ekspresji — trudno wymienić jakąś interesującą.

Natomiast przykrą bardzo jest rzeczą niefortunne obesłanie działu architektury. Gdyby nie znajomość architektury czeskiej z licznych fotografii, widniejących w ub. roku na międzynarodowej wystawie architektonicznej — musielibyśmy z obecnych eksponatów odnieść wrażenie raczej przeciętnej banalności. Na szczęście, skądinąd wiemy, że budownictwo w Czechach stoi na bardzo wysokim poziomie.

Na zakończenie — mała uwaga: kto był odpowiedzialny za plakat wystawowy? Co miała oznaczać ta tłusta niewiasta i owe piękne buraczkowe barwy? Chcielibyśmy wierzyć, że to przecież chyba nie blamaż „Zachęty“?

\* \* \*

W salonie p. Garlińskiego wystawa p. Haliny Ostrowskiej budzi jaknajlepsze nadzieje. „Bluszcz“ z radością może zanotować nowy udany debiut kobiety. P. Ostrowska operuje bardzo ładnym przytłumionym tonem czerwonym — przycem znać pewne dążenie do wydobycia formy poprzez barwę. Założenie trudne, a na naszym gruncie szczególnie rzadkie — tem jednak wdzięczniejsze. Główna młodej dziewczyny, bardzo ładna w formie, posiada pewną spokojną ekspresję. Czekamy niecierpliwie dalszych wyników pracy.

\* \* \*

Mimo wszystkie zastrzeżenia, jakiebyśmy mogli wysuwać, co do wystawy sztuki czeskiej, z przykrością musimy stwierdzić, że obecna wystawa w „Zachęcie“, obejmująca prace współczesnych malarzy polskich, stoi na poziomie znacznie niższym. Na pociechę możemy sobie tylko powiedzieć, że wystawiający artyści stanowią odsetek nie największy w szeregach plastyków.

Gdyby wystawę można było nazwać przynajmniej impresjonistyczną — możnaby było martwić się tylko, że nie idziemy naprzód, że wiecznie wałkuje się jedne i te same zagadnienia malarzkie. Ale niezliczona ilość pejzaży, motywów architektonicznych, wnętr, studjów i t. d. — nie stanowi jeszcze o impresjonistycznym charakterze. To wszystko jest tak smutne i ubogie w inwencji kolorystycznej, tak mało kulturalne, jeżeli chodzi o zestawienie barwne, że przeciętny widz wychodzi z wystawy, pełen nudy i zniechęcenia, i wini „temat nieciekawych“. Cóż — kiedy temat, najbardziej romantyczna fabuła, również nie poradzą nic wówczas, jeżeli się nie ma instynktu malarzkiego — dowodem — rozpaczliwe pod względem artystycznym, choć pełne może najwznioślejszych tendencji literackich, płótna p. Nowiny-Przybylskiego.

Stosunkowo najwyższym kolorem operuje p. Nartowski. Kilka dobrze związanych fragmentów dałoby się może wyłowić z małych obrazków p. Stępskiego. Na wystawie ogólnej zwraca uwagę dobra technika olejna p. Bobińskiej-Paszowskiej. P. Rafał Wąsowicz w swych „Słonecznikach“ stawia sobie trudne i ciekawe zagadnienie barwne. Oto jedyne pozycje, jako takie, pozytywne, które udaje się podkreślić. Negatywnych — lepiej nie wymieniać...

l. j.



## Kobieta w świecie i w domu

### ZJAZD ZJEDNOCZONYCH ZIEMIANEK W KRAKOWIE

W dn. 26, 27 i 28 października zgromadził kilkadziesiąt pań z całej Polski.

Po Mszy Św. w Katedrze Wawelskiej, którą celebrował ksiądz prałat Ślepicki, przewodnicząca Krakowskiego Oddziału Związku pani Szmidtowa otwarła Zjazd, witając ciepłymi słowami przybyłe delegatki i gości, wśród których znajdowali się ks. Metropolita Sapiaha i naczelnik wydziału opieki społecznej w województwie, radca Kwiatkowski.

Po niezwykle pięknym przemówieniu pani Czarnowskiej, (prezesowej Rady Naczelnej), o ideologii Związku, kończącym się słowami: — „praca społeczna jest naszym obowiązkiem, jest ozdobą i błogosławieństwem życia! Niech każda wbuduje w gmach społeczny swą cegiełkę! Wzywam was do budowania w imię Boże!“ — dalej, po przemówieniach gości — delegatki przystąpiły do zdania sprawozdań i bilansu pracy w poszczególnych dzielnicach.

W Małopolsce Wschodniej, głównym zadaniem kół Ziemianek, których organizacją zajmowała się szczególnie Elżbieta ks. Sapiażyna — była obrona ziemi polskiej i praca nad religijnym i narodowym uświadomieniem ludu.

Zakładano czytelnie, ochronki, seminarjum gospodarcze. Dzisiaj toczy się tam walkę o szkołę polską... Praca Ziemianek ma więcej charakter narodowy, niż zawodowo-gospodarczy.

Imponujący, zaiste, obraz pracy ziemianek Wielkopolskich przedstawiła pani Chłapowska.

Za czasów pruskich prowadziły tam Ziemiarki tajną oświatę, we własnych domach, w zakładanych przez się kółkach gospodyń wiejskich. Obecnie jest tam 101 kółek i przeszło 3000 członkiń. Intensywna praca Ziemianek obejmuje opiekę nad młodzieżą (ochronki, kolonie letnie, internaty), oświatę rolniczą (kursy i szkoły) samopomoc (sklepy ziemianek) życie towarzyskie i t. d.

Praca ziemianek pomorskich nie różni się od poznańskich. Rozdawanie książek polskich, urządzenie obchodów Kościuszkowskich, walka z błędami językowymi, zakładanie kółek włościańskich i stowarzyszeń młodzieży wiejskiej — spadły na barki kilkunastu polskich Ziemianek na Pomorzu, którym przewodniczyła dawniej hr. Potocka, a obecnie p. Jaxa-Połyńska i hr. Sierakowska.

O pracy w kołach w b. Królestwie mówiła pani Czarnowska. Rozwijała się ona niezwykle intensywnie. Jeszcze w 1926 r. urządziły Ziemiarki 364 kursów gospodarczych (6-cio tygodniowych) z frekwencją 7:850 kobiet i 360 kursów (tygodniowych) z frekwencją 13,476 kobiet. Pogadank było 1,450; założono szkołę instruktorek w Puławach (skąd wyszło już 106 instruktorek dla różnych działów gospodarstwa).

W województwie Krakowskim w działalności Ziemianek przeważał charakter gospodarczy. Sprawozdanie przeczytała pani Szmidtowa, Ziemiarki troszczyły się o podniesienie wytwórczości gospodarstw przez zakładanie kursów specjalnych, urządzenie wycieczek, odczytów z zakresu przemysłu rolnego i rozmaitych gałęzi rolnictwa, organizowanie kooperatyw i sklepów.

Pani Teresa Tyszkiewiczówna zdała sprawę z działalności „Młodych Ziemianek“, które od kilku lat tworzą przy Związku osobne, bardzo ruchliwe koła, zwracając szczególną uwagę na wychowanie instruktorek gospodarczo-oświatowych.

Referaty delegatek Zjazdu Ziemianek trwały przez trzy dni. Ożywioną dyskusję wywołały referaty p. Kretkowskiej o współpracy Ziemianek w samorządach i p. Czarnowskiej, przewodniczącej Zjazdu, która przedstawiła stan pokrewnych organizacji za ranią i udział polek na terenie międzynarodowym.

Bardzo ściśle i sympatyczne stosunki łączą polskie organizacje ze stowarzyszeniami kobiecymi na całym świecie, a więc: z Francją, Belgją, Włochami, dalej Szwecją, Norwegją, Danją, wreszcie z Anglią i Kanadą.

Szwajcaria ze swą największą organizacją kobietą we Fryburgu, jest stale w żywym kontakcie z Polską.

Austria i Węgry zorganizowały się na wzór Polski, biorąc od niej statuty i system pracy

Polki biorą w międzynarodowym życiu stowarzyszeń kobiecych żywy udział. Uczestniczą we wszystkich ważniejszych kongresach i zjazdach międzynarodowych. Delegatki Związku Ziemianek zabierają głos w Międzynarodowym Instytucie Rolniczym w Rzymie; poważny wpływ zaznacza Związek Ziemianek polskich w Międzynarodowej Komisji Rolniczej w Paryżu. Nie dość na tem: dzięki zabiegom Ziemianek, stworzono odrębną sekcję kobiecą na międzynarodowych kongresach rolniczych, na których odtąd kobiety całego świata, zawdzięczając inicjatywie polek, będą miały swą reprezentację.

Po zamknięciu dyskusji zjazd powziął jednomyślnie następującą rezolucję:

1). Zjazd Rady Naczelnej Ziemianek wzywa członkinie swe do jaknajintensywniejszej pracy wśród kobiet wiejskich. Należy zwiększyć wytwórczość gospodarczą, oraz umiejętność spożytkowania jej do podniesienia dobrobytu jednostek i państwa.

2). Rozpatrzywszy potrzebę zrzeszania się dla podjęcia wielkiej pracy w kraju, tak gospodarczej, jak oświatowej, Zjazd uchwała obowiązek każdej Ziemianki należenia do Stowarzyszenia Zjednoczonych Ziemianek.

3). Stwierdzając, iż dotychczasowa działalność Ziemianek mało jest znana—Zjazd postanawia, iż w celu wykazania użyteczności zrzeszonej pracy—należy występować wszędzie jawnie pod sztandarem Ziemianek.

Odbyło się też na zakończenie Zjazdu wręczenie dyplomów honorowych członkiniom kół: Sandomierskiego, Kieleckiego, Włocławskiego, Opatowsko-Sandomierskiego i Ostrowskiego, które zasłużyły się społeczeństwu swą pracą nad rozwojem wsi polskiej.

#### SKON PANI G. H. WELLS

Znakomity pisarz angielski Wells poniósł w tych dniach ciężką stratę: małżonka znakomitego pisarza, która była mu najwerniejszą towarzyszką życia, współpracowniczką w pracach naukowych i literackich, zmarła po długich cierpieniach.

Wells poznał późniejszą swą małżonkę, miss Katarzynę Robbins, na uniwersytecie w Londynie, gdzie odbywała poważne studia naukowe.

Wspólna praca, wspólne dociekania, wspólne pisanie połączyło młodych „kolegów” na całe życie.

Następnie, gdy Wells rozpoczął utworami beletrystycznymi uzupełniać swoje bardzo jeszcze skromne zarobki nauczycielskie—małżonka jego, jak to sam stwierdził, była mu zawsze kompetentną współpracowniczką i doradczynią, nawet przy pisaniu takiego poważnego dzieła, jak „Zarys historii”.

Pani Wells była kobietą wysoce wykształconą, o niepospolitych zaletach serca i umysłu. Umiała też stworzyć ciepłe ognisko domowe, znane z gościnności, w którym całe pokolenie młodych pisarzy doznawało stale jej pomocy, serca i skutecznego poparcia.

H. S.

#### NOWE STANOWISKO PANI KOŁŁĄTAJ

Prasa amerykańska donosi z Meksyku o odwołaniu posłanki sowieckiej pani Kołłataj z zajmowanego stanowiska.

Posłanka bolszewicka po kuracji w Niemczech ma objąć znowu stanowisko posła sowieckiego w Norwegji.

#### OBROŃCZYNI UCISNIONYCH MĘŻCZYŃ

Podczas, gdy znakomita pisarka duńska Karin Michaelis jest gorącą bojowniczką praw kobiet, inna, niemniej znana i ceniona w swej ojczyźnie, choć mniej może głośna zagranicą literatka, Thit Jensen, występuje w obronie przywilejów mężczyźni! Wielką sensację w ostatnich czasach wywołało przyłączenie się pani Jensen do stronnictwa t. zw. faszystów duńskich, których leaderem jest pułkownik Lembke. W Danji, jak i w wielu krajach Europy, występuje u niektórych grup politycznych niezadowolone z parlamentaryzmu i chęć powrotu do silniejszego systemu rządów—do tego właśnie dążą duńscy faszyci, znacznie zresztą mniej „czarni” od czarnych koszul włoskich. I to stronnictwo pozyskało znakomitą powieściopisarkę, która dotychczas nie zajmowała się polityką, a i obecnie zaznacza, że zna się na niej niewiele. Do stronnictwa zaś przystąpiła dlatego, że w kołach lewicowych widzi zbyt wielką przewagę kobiet, które majoryzują i... uciskają mężczyzn!

Z wielkiem napięciem wyczekuje krytyka mającej się wkrótce ukazać nowej powieści Thit Jensen, pod tyt. „Matka i schwytyany robak”. „Robakiem” owym jest mężczyzna, Thit Jensen przeprowadza bowiem w tym utworze tezę, że obowiązki ojca rodziny paraliżują energję, talent i siłę mężczyzny, który staje się podobny do robaka, wbitego na szpilkę!

N. J.

#### KOBIECE „HERBATKI POLITYCZNE” W WIEDNIU

Austrjacka liga kobieca pokoju i wolności organizuje w obecnym sezonie jesiennym zebrania polityczne kobiet. W lokalu Klubu Kobięcego odbywają się te „herbatki polityczne”, jak je dowcipnie nazwały organizatorki. Twierdzą one, że podczas gdy mężczyźni spędzają długie godziny w lokalach publicznych, gdzie, wypijając ogromne ilości piwa i wina, trawią czas na dyskusjach, nie tyle politycznych, ile przeważnie partyjnych,—kobiety z daleko większym pożytkiem zapoznają się na tych herbatkach z różnemi sprawami istotnej polityki, obchodzącej naprawdę szeregi ogół.

Zarówno Liga, jak i Klub Kobięcy są międzypartyjne, zbierają się więc tam kobiety różnorodnych przekonań, wyjaśniając sobie wzajem swoje poglądy i dążenia. Przyczem myślą przewodnią zebrania jest zawsze idea powszechnego pokoju, jako zasadnicza platforma, na której spotykają się zawsze dążenia wszystkich kobiet, do jakiegokolwiek klasy społecznej i do jakiegokolwiek stronnictwa należą.

Organizatorki tych zebrania widzą w nich jeszcze jedną korzyść: oto zainteresowała się niemi młodzież żeńska. W Austrii, tak jak i w wielu innych krajach, jak i w Polsce, młode dziewczęta nie okazywały zajęcia sprawami kobiecemi, twierdząc, że właściwie mają już równouprawnienie.

Tymczasem na owe „herbatki polityczne” przychodzą bardzo liczne młode panny z różnych sfer społecznych i biorą żywy udział w dyskusji nad poruszaniem tematami.

N. J.

#### PIERWSZA KOBIETA CHAMPIONKĄ W TURNIEJU SZACHOWYM

Młodziutka, bo zaledwie dwudziestoletnia, miss Vera Menchik zdobywa sławę pierwszej kobiety-championki zwyciężając, bez wysiłku wszystkie swe rywalki podczas damskiego turnieju szachowego, który się odbył właśnie w londyńskim klubie szachistów w Westminster.

Bohaterka dnia, udzielając wywiadu reporterowi „Daily Express”, przyznaje się z uśmiechem, że pierwszą oficjalną partję w szachy wygrała jeszcze w Moskwie, bardzo dawno... mając lat 10...

Miss Vera jest córką czecha i angielski. Dzieciństwo swe spędziła w Rosji. Po przewrocie bolszewickim wraz z rodzicami ucieka z piekielnego kraju i po rozmaitych przygodach dociera wreszcie do Anglii. Odtąd zamieszkuje z rodziną na stałe w mieście Hastings i biorąc często udział w rozmaitych przygodnych partjach szachowych, zdobywa sobie opinię dzielnej szachistki.

Przystępując w tym roku do turnieju w Westminster, jako najmłodsza i najskromniejsza z pośród grona uczestniczek, nie przypuszczała nigdy, że zostanie championką. Było to, jak się przyznaje sama, wielką dla niej niespodzianką. Nauczycielem panny Very od lat najmłodszych był ojciec, pan Menchik, który, jako zamiłowany szachista przekazał jedynacze swój talent i zamiłowanie.

W Hastings dziewczyna kształciła się pod okiem znakomitego mistrza węgierskiego, Mazochy, uprawiając go często w zdumienie swemi wyjątkowemi zdolnościami.

Panna Menchik prócz gry w szachy uprawia z wielkim powodzeniem rozmaite sporty, szczególnie tennis, i oddaje się z zamiłowaniem sztuce modelowania w glinie.

H. S.

#### PROTEST PRZECIWKO KONKURSYM PIĘKNOŚCI

Musiał mieć rację ten ktoś, który powiedział, że brzydkie kobiety są w życiu codziennem sto razy miłsze od pięknych, nie mówiąc już o premjowanych pięknościach, które na codzień są wprost nieznośne... szczególnie dla kobiet, rozumie się, niepremjoyanych.

A że ostatnio w Stanach Zjednoczonych każde najmniejsze miasteczko urządzało konkurs lokalnych piękności,—skąd tysiączne nieporozumienia, zazdrości, łyzy i zawody,—więc amerykańska Rada Narodowa kobiet uznała za stosowne wystąpić z publicznym protestem przeciw rzucaniu owej kości niezgody, czyli krótko mówiąc, przeciw osławionym „beauty contests”.

Protest ów brzmi, jak następuje:

„Protestujemy jaknajgoręcej przeciwko organizowaniu konkursów piękności kobiecej, ponieważ stają się one powodem złego prowadzenia się młodych dziewcząt. Prosimy usilnie rodziców, aby córkom swoim zabronili brać udział w tych przedsięwzięciach, które stają się tylko terenem niskiego wyzyskiwania urody kobiecej”.

Ciekawe, co na to powiedzą kandydatki na tytuł Venus? Wiadomo bowiem, że w Stanach Zjednoczonych młode osoby odznaczają się silną wolą, żeby nie powiedzieć—samowolą.

R. C. H.

#### WPROST PRZECIWNIE

Istnieje kraj, a ściślej mówiąc, pewien szczep w kraju, gdzie wznoszenie budowli należy do zajęć kobiecych. Jest nim stan Arizona w Stanach Zjednoczonych, zamieszany przeważnie przez Indjan.

W miejscowości tej, podczas gdy indjanki ze szczepu Hopi zajęte są budowaniem chaty, mężowie ich siedzą w domu, kołysząc dzieci, przędą i tkają wełnę.

Obyczaj ten wydaje się narazie dziwny. Przypomnijmy sobie jednak francuskie gawiury z 16-go wieku, na których spotykamy często mężczyzn przy kołowrotku. Co się tyczy jednak kołysania dzieci, to zajęcie to we Francji było napewno zawsze udziałem kobiety.

R. C. H.

#### ANGIELKI STAJĄ SIĘ CORAZ WYŻSZE

Dr. Parson, profesor anatomji na uniwersytecie londyńskim, wygłosił niedawno w Medical Society prelekcję, na której udowodnił, że wzrost kobiet angielskich staje się coraz wyższy.

Przed 20 laty profesor dokonał pomiarów 160-ciu studentek i stwierdził wówczas, że przeciętna miara ich wzrostu wynosiła 1 metr i 58 ctm. Po 10-ciu latach poddał pomiarom taką samą liczbę młodych panien i zauważył, że przeciętna stanowiła już 160 ctm. W ciągu bieżącego roku analogiczne pomiary dały rezultat wyższy znowu o 2 ctm. A zatem w ciągu 20 lat średni wzrost angielski powiększył się o 5 ctm.

Podobne pomiary, dokonane na studentkach, wykazały, że wzrost ich nie uległ zmianie i wynosi przeciętnie 1 metr 73 ctm.

R. C. H.

#### NIECH ŻYJĄ BRZYDKIE KOBIETY!

Pani Ellen Kood, zająca bojowniczką feminizmu w Anglii, wyruszyła w podróż okrężną po Stanach Zjednoczonych pod hasłem walki z pięknnością kobietą.

Pani Kood jeździ z miasta do miasta z odczytami, usiłując przekonać słuchaczy, że niemasz większego wroga ludzkości nad pięknność kobiety.

— Czemże jest piękna kobieta?—biada prelegentka.—Biczem bożym! plaga, spadła na ludzkość, pomysłem szatana, sięjącym dookoła ból i cierpienie!

Piękna kobieta jest zawsze egoistką. Zapatrzona we własną urodę, domaga się od swego otoczenia wiecznych hołdów i wyróżnienia na każdym kroku. Rzadko bywa ona inteligentną i wykształconą, nic w świecie, bowiem, nie interesuje jej tyle, co własna twarz. Nie w głowie jej wychowanie dzieci, nie ma ona na to czasu; musi wszak ustawicznie myśleć o strojach i o zachowaniu, lub pomazaniu swoich wdzięków!

Mąż pięknej kobiety staje się jej niewolnikiem, od którego wymaga się nieskończenie dużo, nie dając mu wzamian nic, ponad ładną buzię, lub zgrabną figurkę.

Piękna kobieta nie potrafi dotrzymać wiary swemu mężowi, jest bowiem wiecznie narażona na pokusy, którym chętnie ulega, gdyż hołdy męskie stają się jej żywiołem. W 95 procentach przyczyną rozvodu staje się uroda kobiety.

Co innego—kobieta brzydka. Ta od dzieciństwa zdaje sobie sprawę, że trudno jej będzie znaleźć sobie męża; nie licząc więc na zdobycie go, usiłuje własną pracą zdobyć sobie samodzielne stanowisko w życiu.

Kobieta brzydka jest stworzeniem naturalnem i bezpretenjonalnem; nie wmawia ona w siebie, że jest ośrodkiem, wkoło którego obraca się cały świat. Przeciwnie, stara się każdemu być użyteczną.

Brzydka żona umie cenić szczęście rodzinne. Zabiega o miłość męża, przekłada zacisze domowe nad zabawy, na których nie czekają jej sukcesy; wolne zaś chwile spędza na pożytecznej pracy dla społeczeństwa.

Ellen Kood ubolewa nad płytkością i naiwnością mężczyzn, którzy, oszołomieni pięknnością kobiety, biegną, jak ćmy, w ogień jej wdzięków, aby zginać, lub na całe życie boleśnie oparzyć sobie skrzydła.—Uganiacie się za pięknymi kobietami!—woła z oburzeniem do mężczyzn prelegentka,—nie rozumiejąc, że przyniosą one wam nieszczęście; nie troszcząc się o brzydkie, jakkolwiek po siadają one o wiele więcej wartości, a życie w spokoju i szczęściu znaj-

dziecie tylko przy boku ich, wzgardzonych przez was tak niebacznie!

Ciekawe byłoby wiedzieć, czy słuchające szanownej prelegentki zaliczają ją samą do „plag ludzkości“, czy też do błogosławieństwa, jakim jest, pono, w życiu kobieta brzydka? R. C. H.

#### NIEZWYKŁY RAID FRANCUSKIEJ AMAZONKI

W obecnych czasach coraz więcej daje się zauważyć dążność kobiet do dokonywania niezwykłych czynów sportowych, chęć pobicia trudnych rekordów na ziemi, w powietrzu i na wodzie.

Ostatnio pisma donoszą o śmiałym raidzie konnym młodej francuski, panny Dorange. Odważna amazonka sama jedna przejechała konno drogę z Paryża do Berlina, kierując się na Spaa, Bruksellę, Hagę, Berlin i z powrotem. Razem ni mniej ni więcej, jak 2400 kilometrów.

Najpiękniejsza amazonka Francji,—jak o pannie Dorange wyrażają się jej rodacy—wyruszyła w podróż na arabie pełnej krwi „le Huppé“, który nie zawiódł pokładanego w nim zaufania. Panna Dorange, chcąc uniknąć zbytniego zmęczenia dla siebie i wierzchowca, zamierzała robić dziennie nie więcej nad 50 kilometrów, i od czasu do czasu, w bardziej ciekawych miastach, zatrzymywać się na całodzienny odpoczynek. W ten sposób podróż jej trwała dość długo.

Należy jednakże podziwiać odwagę i energję młodej panny, która wyruszyła samotnie na nieznanne gościńce.

Ubrana w czarną amazonkę, szarą zarzutkę i takiż melonik, panna Dorange, udając się w drogę, postanowiła zapomnieć, że jest światową damą. Cały jej bagaż stanowił mały neserek, zawierający jedną suknię wieczorową, pantofelki, pyjamę i drobiazgi toaletowe. W torbie na ramieniu mieściły się mapy dróg. W przytroczonej płaskiej butelce wesoło bełkotał stary koniak, zabrany na rozgrzewkę. Wreszcie maleńki rewolwerek w kieszeni „na wszelki wypadek“ dopełniał ekwipunku.

Jak na dwumiesięczną podróż, jest to niewiele, gdy zważymy, że pewna pilotka angielska, udając się w aeroplanie za Atlantyk, zabrała ze sobą dwa kufrы i dwa pudła kapeluszy.

Zapewne śmiała amazonka doznała mnóstwa wesołych i ciekawych przygód po drodze i uniknęła niepożądanych wypadków.

Przy sposobności przypominamy, że niedawno podobny raid na koniu przedsięwzięła szczęśliwie młoda szwedka, panna Luidge Klinchowstrom.

R. C. H.

#### ELEGANCKA ADWOKATKA

Młoda adwokatka amerykańska, Miss Dorothy Frooms z Chicago, wypowiedziała w wywiadzie z dziennikarzami opinię, jak powinna wyglądać kobieta, stająca w roli obrońcy.

Panna Frooms zjawia się zawsze w sali sądowej w eleganckiej tualecie, starannie uczesana, w wytwornym kapeluszu i białych rękawiczkach.—Tak, jak sędziowie mają togi, a w Anglii peruki, które bardzo malowniczo wyglądają,—rzekła miss Frooms—tak samo i kobieta powinna przedstawiać się elegancko i stosownie do swej płci, niema bowiem nic szkaradniejszego, niż kobieta, którą tylko suknia różni od mężczyzny. Dalej panna Frooms stwierdziła, że kobiety oskarżone powinny zawsze wybierać adwokatki, gdyż kobieta-obronca daleko lepiej zrozumie oskarżoną, niż mężczyzna, i zdobędzie całkowite zaufanie swej klientki w każdej sprawie.

N. J.

#### NARODOWA RADA INDIAN NADAJE BIAŁEJ KOBIECIE

##### TYTUŁ SQUA - SACHEM

Sara M. Algeo, przewodnicząca Narodowej partji kobiet w Rhode Island, (Stany Zjedn.) dostąpiła niedawno niebываłego zaszczytu. Jest ona pierwszą białą kobietą w świecie, której indjanie nadali tytuł Squa-Sachem, lub też Sanuk-Squa, co znaczy „królowa sześciu plemion“.

Algonquin, Narodowa Rada owych sześciu zjednoczonych plemion, urządziła specjalną uroczystość, podczas której pani Algeo otrzymała imię „Śnieżnego ptaka“ i wspaniałe wojenne przybranie z piór na głowę.

Wschodni indjanie od niepamiętnych czasów przyznawali kobietom swoim prawa, równe męskim, do tego stopnia, że wśród plemion Mohicanów, Wampaugów, Pequotów i in. indjanka mogła stać się nawet wodzem szczepu.

Nowomianowana dygnitarka indyjska jest oddawna wielką przyjaciółką czerwono-skórych. Spędziła ona wśród nich wiele czasu, studując ich wierzenia, obyczaje i historję, które bądź spi-

sywała, bądź utrwałała na kliszach fotograficznych i filmach kinowych. Prace jej są umieszczone w Muzeum Historji Rhode Island.

Mrs. Algeo pozostaje w stałym kontakcie z księżniczką indyjską Wutonekanuske, pochodzącą w prostej linii od słynnego wodza indjan Massasolit. Dzięki jej zabiegom, rząd Stanów Zjedn. przyznał księżniczce stałą pensję dożywotnią.

R. C. H.

#### CZY KOBIETA MOŻE BYĆ DOBRĄ SPEAKERKĄ W RADJO?

Angielskie radio wydało niedawno zdumiewającą opinię. Orzekło mianowicie, że kobiety nie są dobrą speakerkami. Potrzeba do tego bowiem siły fizycznych i temperamentu, których nie posiada przeciętna kobieta. Enuncjacja ta wywołała ogromne protesty w kołach kobiecych. Nauczycielka, wykładająca 5 lub 6 godzin w klasie, gdzie jest 30—40 dzieci, czyż mniejszą ma pracę głosową? A cóż powiedzieć o wysiłku i temperamencie, potrzebnym do przepłynięcia kanału La Manche! A ileż siły zużyć musi... praczka?!—Napewno żaden speaker by się z nią nie zamienił.

Rzecz sama w sobie jest zabawna — pierwszy to raz chyba od początku świata zarzucono kobiecie, że nie jest zdolną do... mówienia! Świadczy to tylko o tem, jak bardzo mężczyźni zazdrośni są o każdą dziedzinę pracy.

N. J.

## Z ŻYCIA MUZYCZNEGO

Otwarcie sezonu.

Nowości w Konserwatorium i Filharmonji — Premjery i gościnne występy w Operze.

Sezon koncertowy jest już w pełnym tempie i budzi zainteresowanie z jednej strony nowymi utworami, które zaprodukowano nam w Filharmonji — z innej, — brzmieniem sławnego nazwiska, które już przeszło Rubikon europejskiego autorytetu, a wiadomo, jakie fascynujące wrażenie wywiera on na snobizm pewnych sfer, mających jeszcze jedną sposobność do uświetnienia koncertowego wieczoru frakiem, smokingiem, wytworną tualetą i pokazem obnażonych ramion. Do koncertów, które gromadzą „high life” świata artystycznego, dyplomatycznego, oraz szerokie masy publiczności, hołdujące wielkiemu nazwisku i żądne estetycznych wrażeń muzycznych, do tych, które po brzegi zapełniają koncertową salę i zdobywają wszystkich słuchaczy — niezależnie od upodobań muzycznych, konserwatywnych, czy postępowych — należą przedewszystkiem występy Artura Rubinsteina.

Gra wielkiego pianisty skrytykowała się w ostatnich latach w delikatnych, pastelowych barwach, subtelnym, a jednak nie przesubtelnionym, nierozwodnionym, ciekawym sentymentalizmem, w ujęciu o nieprześcignionym wdzięku poetyckim i niezrównanej maestrii warunków technicznych, niezależnie od wykonania chopinowskich utworów — biedermayerowskich miniatur „Karnawału” Schumanna i rozświetlonych, hiszpańskich rytmów tanecznych „Novarry i Triany” Albeniza. Rubinstein jest żywym świadectwem teorii, że prawdziwy geniusz porwuje i jednoczy wszystkie sfery, począwszy od słuchaczy o wyrafinowanym smaku muzycznym, a skończywszy na przeciętnej publiczności, niezdolnej w zwykłych okolicznościach do skupionej uwagi.

Dla niewielkiej garstki muzyków, żadnej i ciekawej postępów współczesnej kompozycji, atrakcją ostatnich koncertów w Filharmonji były utwory kompozytora węgierskiego Beli Bartoka, zakrojone na ostatni wyraz modernistycznych — i nieraz aż do bólu przykrych — efektów muzycznych. Kompozycje te, zagrane z udziałem autora w koncercie fortepianowym, nie powrócą pewnie na naszą estradę.

Ostatnie popołudniowe koncerty niedzielne w Filharmonji przyniosły nam, poza lekkomyślnie interpretowanym „Requiem” Berlioz, w przygotowaniu i pod dyktando Wallka-Walewskiego, współdziałającą sławną śpiewaczką dramatyczną Margot Kaftal, mającej, niestety, zagranicą daleko większe powodzenie, aniżeli u nas,

i odsuwanej fatalną, choć dobrze znaną, siłą od występów w Operze warszawskiej. Margot Kaftal, która w swoim dorobku artystycznym posiada najlepsze kreacje sopranu dramatycznego, opanowała w zupełności styl włoskiej arji, odśpiewanej, jak zawsze, z wykwiętym smakiem i wielką kulturą.

Świetna artystka zrobiła słuchaczom na ostatnim koncercie przemiłą niespodziankę: z koturnów dramatycznych arji Pucciniego, Giordana i Cilei zstąpiła do skromnej pieśni polskiej St. Niewiadomskiego, zdobywając serdeczne, niemilkące oklaski za wdzięk, wyraz i finezję w śpiewie o miniaturowej formie. Nieodżałowana szkoda, że p. Kaftal wiedzą swoją i kulturą nie może świecić w Operze młodemu pokoleniu artystek, niedoroslých niejednokrotnie do kreowania partyj dramatycznych.

Wogóle w naszej Operze stołecznej daje się odczuwać dotkliwie brak zdecydowanego kierownictwa muzycznego, które nie dopuściłoby do przedstawienia w tej formie, w której ukazała się np. w ostatnich czasach opera „Manon”.

Opera nie powinna być schroniskiem dla dogorywających lub niedoroslých artystów. Bezdźwięczny głos Smirnowa, zrywający się w górę, niegodny stanowczo wyróżnienia na niekorzyść polskich tenorów, o intonacji, pozostawiającej wiele do życzenia na gościnnych występach, ma stanowić atrakcję sezonu. Olga Olgina, śpiewaczka, zaangażowana świeżo w tym sezonie, niedorosa jeszcze stanowczo do kreowania „Traviaty” i „Manon”. Jej piękne warunki zewnętrzne i nerw sceniczny nie równoważą braków w śpiewie, utrzymanym niewiadomo dlaczego zawsze w „mezza voce”, niezdolnym do wydobywania właściwych efektów z partji, powierzonej artystce. Zarówno arje solowe, jak zespół Olginy ze Smirnowem, chóry, śpiewające nieczysto, domorosłe okrawanie niektórych scen, fałszywe tempa w orkiestrze, — słowem całe przedstawienie „Manon” sprawiło, niestety, wrażenie sceny prowincjonalnej. Jedyne udane przedstawienie w tym sezonie jest opera „Lakme” Delibes’a, z p. Ewą Bandrowską-Turską w roli tytułowej. Stylizowana, melodyjna opera na tle wschodnim, nie mająca zbyt pretensyj do egzotyki, choć wyrosła z szumnej epoki „exotique tragédie lyrique”, skromna w przeprowadzeniu, ale staranna w opracowaniu wokalnem i orkiestrowem, — otrzymała w Teatrze Wielkim dobrą oprawę, dzięki przedewszystkiem p. Bandrowskiej-Turskiej: jej umiejętności śpiewania i wdzięcznej koloraturze. Opracowanie pozostałych partyj i przygotowanie orkiestry było na wyzynie zadania.

P. L.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Jan Kołt. w Warszawie. Wiersz „Jesień” pochodzi, zdaje się, z czasów przedwojennych. Któraś z redakcji umieściła w odpowiedziach nawet cytate: „Szarych wróbli różańcem opasana strzecha, przytula georginij czerwonych gromady”, — jako dyskwalifikującą wiersz. Naszem zdaniem, ustęp ten, podawany ongiś w wątpliwość, jest właśnie najładniejszy. Pozatem wiersz błady.

„Idealistce”. Nowela bardzo słaba. W budowie, w treści, w formie. Cały szereg zdań nielogicznych. Niech Pani spróbuje nastawić się więcej krytycznie do własnej twórczości, tak, żeby za każde zdanie móc ponosić odpowiedzialność. Czy mamy zniszczyć rękopis? Nie jest „drobny”.

P. Władysław Bor. „Do mego syna” drukować nie możemy. Radzimy przestać pisać poetycką prozą. To bardzo trudny gatunek literacki, wymagający ogromnej koncentracji myślowej. Najgorszy jest ten refren: „Płaczą struny harf i lir, dzwonią cytry”. W rzeczach choć trochę realistycznych, należy unikać podobnych zwrotów.

P. Fel. Łun. Artykuł przekazany Redaktorowi dwutyg. „Dziecko i Matka”. Książkę Giny Lombroso będziemy drukowali w całości w „Bluszczo”.

\* \* \*

Drobnym rękopisów nie zwracamy. Z obszerniejszych nowel, artykułów i t. d. ulegają zwrotowi tylko prace, zaopatrzone znaczkami na odpowiedź i wyraźnym żądaniem odesłania wrazie nieprzyjęcia.



## ŻYCIE ZACZYNA SIĘ DZIŚ, A NIE JUTRO

My, polacy, mamy naogół, w zrozumieniu ludzi nowego świata, za wiele czasu. Dla jednostek prawdziwie czynnych czas wolny, czas marnotrawiony tak, jak to jest u nas na porządku dziennym, stanowi luksus rzadki. Bezczytność zasługuje tam prędzej na pogardę i współczucie, aniżeli na zazdrość: jest uważana za kalectwo, nie za uprzywilejowanie.

Temat, jaki poruszyć pragnę w dzisiejszym artykule, nie jest wprawdzie ściśle związany z pracowitością, jako taką, łączy się jednak wieloma nierozdzielnymi nitkami z uznaniem konieczności wdrożenia pokoleń, które idą po nas, do szybkiej decyzji i energicznego czynu.

Nie chcę bynajmniej zmniejszać naszych kobiecych wad i niedoborów przez wyjaskrawianie ułomności mężczyzn. Każda płeć ma cechy swoiste prócz wielu cech wspólnych, dodatnich, czy ujemnych, jak Bóg da. Brak mi przytem specjalnego talentu ironizowania, którym tak hojnie, i to na naszą niekorzyść, Pan wszechświata obdarzył Kornela Makuszyńskiego. Niechże sobie zatem mężczyźni, dumni brakiem odwetu, chodzą nadal w swej chwale istot wyższych. Stawiam ich w tym wypadku poza nawiasem, zadawalnając się rozpatrzeniem naszych i tylko naszych niedoborów, niedoborów natury kobiecej.

Rzadko która z nas jest ściśła, zwięzła i stanowcza, tak w słowach, jak i w czynach. Słowa, przeciętne słowa, ulatują łatwo, jednak czyny, nawet przeciętne, są pewnego rodzaju dokumentem i dorobkiem. A ileż naszych czynów pozostaje na wieki w mglistej dziedzinie dobrych chęci! Rzadko która z nas uniknęłaby przerażenia, gdyby na podstawie ściśle statystycznych danych, zbieranych przez jakąś tajemną maszynę, mogła porównać ubogą dziedzinę własnych czynów z przebogatą dziedziną nigdy nieucieleśnionych dobrych chęci.

W czym szukać wytłumaczenia? Sądzę, iż w zamało uświadomianej młodości, która tak łatwo poddaje się złudzeniu, że kres drogi, u którego czeka otwarta mogiła, jest przecież na bardzo odległych krańcach! Przemierzenie tej całej drogi równa się, dla ich beztroskiej wyobraźni, z nieskończonością; dlatego też może mamy w zaraniu życia z przyczyn usprawiedliwionych, a później już—z przyzwyczajenia zawsze i niezmiennie tyle czasu do marnotrawienia.

Ale przypatrzmy się tej sprawie bliżej, przypatrzmy się jej w sposób praktyczny. Umiejętność wytłumaczenia sobie, że na spełnienie jakiegoś, mniej, lub więcej niemiłego obowiązku, jest jeszcze dość czasu jutro, przecina kwestję tylko napozór, jeżeli przecina ją wogóle. W rzeczywistości, zamiast ułatwienia, takie postawienie sprawy tworzy tysiące komplikacji, utrudniających, a nieraz i uniemożliwiających wydobyć się z sytuacji, jaką wytworzyliśmy same. Bo „odkładanie“ nie kończy się prawie nigdy przesunięciem czegoś na dzień jutrzejszy. Za tym jutrzejszym dniem przychodzi jeden i jeszcze jeden, aż utworzy się cały długi szereg i nieprzebyta przeszkoda. Tak bywa z niezłożonymi w porę wizytami i rewizytami, z korespondencją, z przygotowaniem się do egzaminu, z koniecznymi nieraz reformami życia domowego, z oszczędnością, z płaceniem bieżących należności, z oddawaniem pożyczonych przed-

miotów, z kondolencjami, powinszowaniami, wreszcie z walką, którą podjąć trzeba natychmiast, gdy zauważymy czyhającego na zdrowie naszego ciała, czy duszy — wroga.

Opieszałość i w ślad za nią idący brak woli, która zanika z dnia na dzień w sposób łatwy, a zaskakujący—podają sobie ręce przy akompaniamencie schlebiana własnym słabostkom i podstawowym braku samokrytycyzmu. O ileż bowiem łatwiej jest zdobyć się w porę na pewien wysiłek, czy przymus niż łagodzić później wyniki z naszej własnej winy rozdźwięki i straty, lub znaleźć się w obliczu faktów dokonanych, na które już niema żadnego lekarstwa! Takie załatwianie spraw „niezałatwionych“ wstrzymuje normalny bieg i rozwój naszej pracy, naszego życia, cofa nas ciągle wstecz, a co gorsze, utrudnia dojście do jakiegokolwiek celu, zniechęca do ludzi, do świata, do życia; tymczasem zaś powinno nas zniechęcić jedynie do własnego sposobu postępowania, a tą dawką gorzkiego lekarstwa uzdrowić i skłonić do poprawy.

Najwęższe ścieżyny prowadzą do najwspanialszych nieraz rezultatów, a przyziemna i szara droga, jak ją chętnie ze ślicznym grymasem zniechęcenia nazywają piękne panie, — droga, na której każdy obowiązek ma swoje wyznaczone miejsce i swoją wyznaczoną porę, — prowadzi zawsze i niezmiennie do ładu, dobrobytu, do zewnętrznego i wewnętrznego zrównowazenia.

Pani X przepada za rankami, spędzanymi w leniwej kontemplacji. Śniadanie podane do łóżka, potem niedbałe przerzucanie gazet, papieros, krótka chwila zadumy, jeszcze jeden papieros, później znów oczekiwanie listonosza. Wszak niema nic miłszego, nad czytanie listów w zaciszu sypialni! Wreszcie, przykry powrót do rzeczywistości. Nielitościwy zegar wydzwania godzinę wprost nieprzyzwoitą! Przychodzi czas na konieczny pośpiech, zdenerwowanie, przysłowiowy „gwałt“ domowy. Służąca, oderwana od kuchennej blachy, sprząta sypialnię; obiad kipi, przypala się, a pani X zwiża misterne loczki i poleruje drapieżne pazurki. Na dnie jej duszy błąka się wprawdzie jakiś nieuchwytny wyrzut sumienia: błąka się przypomnienie o ważnych, a czekających zmiłowania niezałatwionych sprawach, o szafach, w których porzrucane w pośpiechu rzeczy tańczą modnego charlestona; o maleńkich, pokrzywdzonych pończoszkach, wyglądających na świat poprzez rozpaczliwe dziury; o niezliczonych guzikach, które tak buntowniczo odpadają od białej powierzchni staniczków dziecinnych; o jakiejś niewyczyszczonej plamie na mężowskiej kamizelce; o niezwidzonej wystawie, która już dzisiaj zamyka podwoje, wreszcie, o pastelowych crêpe de chinach, które znów będą narazone na zetknięcie z niszczycielskimi rękami Marysi, czy Kasi,—wszystko to z powodu — braku czasu. Dziwne, jaki ten czas jest nieuchwytny! Toczy się ciągle i ciągle przed siebie: zawsze go mało w stosunku do wielkich zamierzeń! Powierzchnia duszyczki pani X wygładza się jednak prędko. Wpada na pomysł iście genialny. Usypia wyrzuty sumienia. Wszak jest jutrzejszy ranek! Poco zakłócać sobie słodkie wspomnienia niedawnych przeżyć jakimiś reminiscencjami, poco macić pogodną chwilę myślą o tem, co minęło, co przyjdzie?

Gdyby jednak pani X (a jest nas takich legion!) miała otwartą śmiałość w porachunkach z samą sobą, gdyby, co ważniejsze, porachunki te robiła częściej, lub robiła wogóle,—wiedziałyby już dziś, że ju-

tro nie zmieni się nic, bo brak jej panowania nad własnymi słabościami, brak silnej woli, aby ująć w nieustępliwe ręce samą siebie, ten najtrudniejszy do opanowania teren! Wiedziałyby, że idąc tą drogą, rozmieni cenny kruszec wartości życiowych na drobną monetę obiegową, którą wyda bez pożytku dla drugich i dla siebie. Wiedziałyby, że z równą łatwością można nabrać przyzwyczajenia, które, jak mówi, „jest silniejsze od niej” — i wygrzewania się w puchowej pościeli, jak i przyzwyczajenia rannego wstawania, załatwiania natychmiast wszelkich, wyłaniających się z codziennego dnia, obowiązków; że potrzeba na to tylko silnej, niezłomnej woli i docenienia własnej odpowiedzialności.

Umieć sobie powiedzieć wieczorem: „Straciłam dzień”, — to pierwszy krok do poprawy. W ślad za tem uświadomieniem przyjdzie wczucie się w przyczyny i skutki, przyjdzie zrozumienie, że właściwie nic nie jest zrobione tam, gdzie pozostaje jeszcze coś do zrobienia, a cóż powiedzieć o dniu, w którym nie zostało zrobione dosłownie nic?

Nie biorąc w rachubę jednostek, wybitnie płytkich i bezkrytycznych, śmiało powiedzieć można, że niema wśród nas takiej, która nie znałaby własnych błędów i niema takiej, dla której nie byłyby one źródłem niesmaku i wyrzutów sumienia. Dlaczego jednak wolimy przeważnie ten niesmak i te wyrzuty sumienia, niż trud pracy nad sobą, która prowadzi ku lepszemu? Prawdopodobnie dlatego, że z uczuciami temi łatwiej dać sobie radę, niż z każdą chwilą długiego dnia codziennego, zużytkowaną racjonalnie i pracowicie; łatwiej oszukać siebie i innych na tym, niż na innym terenie.

Gdybyż to można nauczyć młodość, wbrew wszelkim prawom natury, korzystania z doświadczenia późniejszego wieku! Jak łatwo wtedy byłoby żyć, wiedząc od dni zarania, że tylko poczucie uczciwie i nienagannie spełnionego obowiązku daje spokój, pogodę i równowagę, bez których niema radości życia!

Należyte ustosunkowanie się do wszystkich bolączek, wypływających z chwiejności woli i chwiejności postanowień, leży w przyjęciu do świadomości i zgłębieniu należytem wielkiej prawdy, że życie zaczyna się dziś — nie jutro. Nie czeka ani chwili, nie zatrzymuje się, nie cofa: płynie wartkim, rwącym strumieniem, płynie ku śmierci. Szkoda każdej niewykorzystanej chwili, szkoda każdego niespełnionego w porę czynu; czas mija niepowrotnie; buduje, burzy i znów buduje; jest nieubłagany w swoim zwycięskim pochodzie, a opieszających usuwa z drogi i niszczy.

Gdyby zdarzyło się tak, że z napiętej cięciwy mojego łuku wyrzucona strzała trafi boleśnie w świadomość którejś z Szanownych Czytelniczek, — niech znajdą, proszę, usprawiedliwienie dla niżej podpisanej w pokorze, z jaką wyznaje, że, pisząc te słowa, miała śmiałość powiedzieć sobie wraz z nieśmiertelnym Horacjuszem: De te fabula narratur — historia ta mówi o tobie!

W. D.



## GNICIE OWOCÓW

Wśród wielu chorób, gnębiących nasze sady, gnicie owoców jest jedną z plag najbardziej upartych i dokuczliwych. W początkach choroba ta zwykle bywa lekceważona, a objawy, przez nią wywoływane, chętnie przypisuje się innym powodom. To też mało kto stosuje środki zapobiegawcze, lub lecznicze, zaraza ogarnia coraz nowe drzewa, a wilgotne i ciepłe powietrze sprzyja jej rozwojowi.

Nieraz widzimy walające się pod drzewami, albo conajwyżej zgarnięte na jedno miejsce, gnijące jabłka i gruszki, pokryte szaremi guziczkami, współśrodkowo rozmieszczonemi. Guziczki stają się coraz większe, zlewają się, nieraz pokrywają duże płaszczyzny owocu. Sprawcą tych objawów jest grzybek — *Monilia fructigena*, albo *Monilia cinerea*, który w postaci włókienek snuje się w mięszu owoców, stanowiących dlań doskonałą pożywkę. Organy rozrodcze grzybni przebijają naskórek w wielu miejscach i tworzą owe punkty, zawierające miliony zarodników. Wiatr i owady roznoszą je, osadzają na innych owocach i przyczyniają się do powstawania dalszych szkód. Najmniejszy otworek, najdrobniejszy zranienie naskórka, np. wskutek uklucia przez oś, uderzenia gałęzią podczas wiatru, otwiera zarodnikom dostęp do wnętrza owocu, w którym szybko kiełkują, a grzybnia się rozrasta i niszczy tkankę. Małe plamki zgniłe zdradzają z początku obecność wroga, a nie zawsze daje on znać o sobie, tworząc gniazda zarodników na powierzchni owocu. Często skórka przybiera tylko zabarwienie brunatne, charakter skórzasty, a pod nią chroni się zgniły miąższ i grzybnia. Takie owoce późną jesienią zasychają, kulą się, a przytwierdzone mocno do gałęzi, pozostają na zimę na drzewie i stanowią rozsadniki zarazy na rok następny.

Są to t. zw. „mumje“. Wczesną wiosną zarodniki występują na powierzchni mumji, spory wysypują się i padają na zawiązki nowych owoców.

Jeżeli zaś wysypywanie się zarodników wypadnie w czasie kwitnienia drzew, to zarodniki przedostają się przez znamię kwiatu do wnętrza pędów, i tam się rozrasta grzybnia, niszcząc młodą tkankę latorośli i liści i odbierając soki zawiązkom owoców.

Tem się tłumaczy nagle obumieranie gałązek, często pokrytych kwiatem lub zawiązkami, a niesłusznie przypisywane działaniu mrozu, albo suszy. Najczęściej takie obumieranie pędów, a nawet całych gałęzi, występuje na wiśniach, z tych zaś najwrażliwsza jest *Ostheimska*.

Leczenie szkód, zrzędzanych przez *Monilję* w tkance drzewnej, jest niemożliwe. Wycinanie gałęzi porażonych, przy dostreżeniu pierwszych objawów, może tylko zapobiec, lub osłabić rozwój grzybni.

Ale ważniejsze jest zapobieganie szerzeniu się zarazy drogą usuwania z ogrodu rozsadników choroby, t. j. gnijących owoców, od pierwszej chwili ich pojawienia się, a w zimie mumij owocowych. Zbierać je trzeba w okresie, gdy drzewa są pozbawione liści, a najlepiej, po zdjęciu owoców dobrych, starannie strząsnąć wszystkie gnijące, posypać wapnem zproszkowanym i zakopać w ziemię. Owoce nadgniłe chętnie zjada trzoda chlewna. Wycięte gałęzie należy niezwłocznie palić.

Rozszerzaniu się grzybka zapobiega też skutecznie skrobanie drzew, wapnowanie ich, a od najwcześniejszej wiosny — systematyczne zraszanie preparatami miedziowymi, które zabijają zarodniki i działają pobudzająco na rozwój tkanki. Preparatami takimi są: ciecz bordoska 1%, albo 1% roztwór Arbosanu, gotowego preparatu, krajowego wyrobu. Zraszanie temi cieczkami trzeba wykonywać bardzo drobnym, mgławicowym rozpyłem i zużywać mało cieczy, żeby nie kapiała z liści, nie zbierała się na nich w krople, lecz opadała w postaci mgły i natychmiast zasychała.

Stan. Schönfeld.



## PRZECHOWYWANIE JAJ

W czasie mrozów, kiedy kury, szczególnie nieracjonalnie hodowane i żywione, przestają się nieść, w każdym gospodarstwie powinna się znajdować odpowiednia ilość jaj, zgromadzonych w czasach, kiedy ich było dużo znoszonych. Jaje, starzejąc się traci, pewną część wilgoci i robi się gęściejszym. U świeżych jaj przestrzeń, zajęta powietrzem w ich czubku, jest niewielka, u starzejącego się jaja powiększa się.

Do badania świeżości jaj z dobrym wynikiem używa się odpowiednio przygotowanego solnego roztworu wody, świeżo zniesione jaja z wodnistym białkiem po nim pływają. Im jaja są starsze tem białko, skutkiem wyparowania wody, robi się gęściejsze, jaja zanurzają się w tym solnym roztworze, a 7 — 10 dniowe opuszczają się na samo dno. Ażeby utrzymać jaja w świeżym stanie, trzeba przeszkodzić im do wyparowywania wody przez porowatą skorupkę.

W tym celu kładziemy jaja do papki z wapna, (jajka-wapniaki) do drzewnego popiołu, lub szkła wodnego (ten ostatni sposób skuteczny, ale drogi). Można również całą skorupkę natrzeć szmatką, umoczoną w szmalcu, lub innym tłuszczu, ażeby napełnił drobne otworki (pory w skorupce jaja) bo tym sposobem zmniejsza się wyparowywanie wody.

Takie natłuszczone jaja mogą być użyte do potraw, ale niezdatne są do nasadzania, bo skutkiem zatkania porów powietrze nie dochodziłoby do środka i nie mogłyby się rozwijać. Doskonale się przechowują jaja w chłodniach, nawet całymi miesiącami, bo tam wyparowywanie wody z jaj jest bardzo ograniczone.

Wyparowanie wody z jaj, ogranicza również suchy miał torfowy, o czym niejednokrotnie się przekonano Bierze się szczelną drewnianą skrzynię, sypie się na jej dno parę centymetrów miału torfowego ustawia się w nim całą warstwę jajek „na sztorc”, t. j. czubkiem na dół, zasypuje szczelnie miałem torfowym, utrzasa skrzynię, żeby nie było między jajami próżnych miejsc, układa w ten sam sposób następną warstwę i t. d., dopóki się całej skrzyni nie napełni.

Z boków i z wierzchu pozostawia się po parę centymetrów samego miału, ażeby przez niego mróz nie przenikał i jaj nie zmroził. Miał torfowy musi być dokładnie wysuszony, bo jaja dostają ciemnych plam, których nie można zmyć, więc tracą na swojej wartości, jako sprzedawne.

Po całkowitem napełnieniu skrzyni jajami i miałem torfowym, zabija się ją deskami i stawia się w chłodnym, przewiewnym miejscu, zabezpieczonym od wielkich mrozów. Ponieważ przy położeniu „na sztorc” żółtko skutkiem swojego ciężaru spływałoby ze środka jaja i byłoby blisko skorupki, trzeba skrzynię regularnie co tydzień odwracać. Alkaliczne białko ochrania żółtko od wniknięcia bakterji i psucia się, więc nie powinno się znaleźć przy brzegu jaja, blisko skorupki, tylko w jej środku.

Jaja wylęgowe można przysyłać w miałe torfowym, czem je ochramiamy od zmarznięcia, ale przed ułożeniem do miału powinny być koniecznie zawinięte w papier, lub bibułkę, żeby miał nie zatkał porów w skorupce, bo podczas wylęgania powietrze nie dochodziłoby do zarodka i nie wylęglyby się!

Przechowywanie jaj w torfie jest stosowane z ograniczą z bardzo dobrym wynikiem. inż. Lentz.



## CZYSZCZENIE I ODŚWIEŻANIE MEBLI

Od utrzymania mebli zależy ich trwałość. Rzeźbione wymagają codziennych, troskliwych starań, bo gdy się raz kurzu nabije w rzeźby, trudno na to zaradzić domowymi środkami i trzeba gruntownego odnowienia, aby przywrócić meblom świeżość.

Jedynym sposobem uniknięcia tej kosztownej ewentualności jest umiejętne obchodzenie się z rzeźbionymi sprzętami; nie wystarcza wycieranie ich ściereczką, trzeba w dodatku używać miękkiej szczoteczki. Bardzo ważnym warunkiem do utrzymania mebli w porządku jest stan ścierek, używanych do wycierania kurzu. Powinny być bardzo miękkie (najlepiej z flanelki), bardzo czyste i do niczego innego nie używane. Baczną na te wskazania uwagę ma wielkie znaczenie dla wyglądu i trwania mebli.

Kosztownych, jedwabnych materiałami krytych mebli nie trzepie się trzepaczką, bo przez wydobycie kurzu z włosia smoli się pokrycie; trzeba je codziennie oczyścić miotełką, lekko strzepnąć ściereczką, a następnie obetrzeć delikatnym kawałkiem starego płótna. Meble, kryte tańszymi materiałami, otomany dywanowe, trzeba dość często trzepać.

Wysokość mieszkań, ograniczenie godzin, dozwolonych na trzepanie mebli, koszt znoszenia ich na dół, — utrudnia bardzo w miastach tę czynność; podaję tu sposób trzepania mebli na balkonie, lub w otwartym oknie w pokoju. Przeznaczony do wytrzepania sprzęt okryć doskonale złożonym w kilkoro, zmoczonem w wodzie przecieradłem; naturalnie, trze-

ba je wyjąć tak, aby było tylko dobrze wilgotne, a nie mokre, i przez nie trzepać mebel. Czynność tę powtarzać, przekładając prześcieradło na świeżą stronę dopóty, dopóki zupełnie czyste nie będzie. W ten sposób wszystek kurz zostanie usunięty, a meble odświeżone odzyskają swój pierwotny kolor.

Posmolone, kretonem kryte, miękkie meble dadzą się wyprać benzyną bez odbijania materiału; zbrudzony kreton można doprowadzić do takiego stanu, że mało różnić się będzie od nowego, naturalnie, o ile kolory nie spłówiały, bo na to niema już rady. Na trzy wyszcierane foteliki bez drzewa wystarczy 1 lt. benzyny, którą po trochu nalewając na miseczkę, maczać w niej szczotkę ręczną, lub gruby ręcznik i dopóty wycierać, aż czyszczone miejsce zupełnie wyschnie. Tak postępować trzeba z całym fotelem, maczając i wycierając go po kawałku, a jeżeli robota skuteczniejsza będzie prędko i starannie, kreton odzyska świeżość.

Materiały deseniowe czyszczą się lepiej, niż gładkie, gdyż na gładkich, jeżeli robota nie była dość prędką i staranna, mogą pozostać zacieki z benzyny. Pokrycia ze skóry na meblach, a nawet walizki i torby podróżne doskonale czyszczą się zapomocą białka, ubitego na pianę, którym smaruje się pendzelkiem skórę, miejsce przy miejscu, a następnie pozostawia w spokoju aż do wyschnięcia; przedtem zmywa się dobrze skórę z kurzu kawałkiem barchanu, umaczanego w niezbyt mocnym occie. Zmatowane tylko skóry wyciera się do sucha oliwą, zmieszaną pół na pół z octem, a powróci im dawny połysk.

Najstaranniej utrzymane lakierowane, białe meble, czasami pobrudzą się, zwłaszcza na wsi, gdzie trudno ustrzec je od much; wtedy zmieszać czystą pszenną mąkę z oliwą na rodzaj ciasta — wycierać tą papką powalane miejsca, a doskonale usunie się wszelki brud. Zmatowanym meblom przywraca się połysk w sposób następujący: zmieszać tanie czerwone wino pół na pół z oliwą nicejską, a maczając kawałki waty w tym płynie, wycierać nim mocno przeznaczone do odświeżenia meble półkolistymi poruszeniami ręki. Gdy wszystek płyn wsiąknie w drzewo, polerować je następnie skórką zamszową, suchym kawałkiem waty, albo bardzo miękkim gałgankiem, od cierpliwego bowiem wypolerowania zależy głównie odświeżenie polatury. Białe plamy, powstałe na meblach politurowanych przez postawienie na nich zbyt gorących naczyń, czyli tak zwane odparzenia, usuwa się zapomocą posmarowania zwilżonym popiołem ze spalonych papierów. Zostawić tak na kilka godzin, poczem zdmuchnąć popiół, wytrzeć splamione miejsca korkiem, nadpalonym nad ogniem, a plamy znikną bez śladu. Następnie zmyć miejsca po nich czystą wodą, wysuszyć skórką zamszową i wypolerować dla przywrócenia połysku miękką flanelą, skropioną zlekką naftą.

Na matowych meblach dębowych pobrudzone lub splamione miejsca zetrzeć najcieńszym numerem papieru szmerglowego, a gdy plamy i brud zejda, przeciągnąć cały mebel benzyną z rozpuszczonym białym woskiem, a wkońcu wyszczotkować do połysku zwykłą, czystą szczotką z włosia. Do odświeżania mebli orzechowych i mahoniowych doskonałą jest mieszanina z 30 gr. wosku żółtego z 30 gr. oczyszczonej francuskiej terpentyny. Rozpuścić wosk w nowej glinianej rynce, poczem, mieszając, dodać do niego terpentynę, i rozcierać małą drewnianą łyżeczką

do wystudzenia. Meble naprzód oczyścić z kurzu, a potem maczać płatek wełniany w tej masie i wcierać ją aż do nadania połysku.

Gięte meble, jeżeli drzewo mają już zupełnie wytarte, trzeba pociągnąć najpierw brązowym bajcem, a po wyschnięciu, szperlakiem, rozpuszczonym w spirytusie. Jeżeli drzewo jest tylko zmatowane, wystarczy dla odświeżenia go przeciągnąć samym spirytusem z szperlakiem.

Meble bambusowe czyści się przez obmywanie ich gąbką, maczaną w słonej wodzie, poczem trzeba je wytrzeć miękką ścierką do sucha.

Dla starannych, rozporządzających małymi środkami osób, lubiących nadać pewien pozór wykwinu swoim skromnym mebelkom, podaję tu tani sposób osiągnięcia tego celu. Na wsi zwłaszcza, gdzie niezawsze znajdziemy na zawołanie zdolnego rzemieślnika, można drzewo z gatunków, zwanych drzewem białym, nadać z łatwością kolor palisandru, lub orzecha.

Trzeba kameleon mineralny (nadmanganjan potażu) rozpuścić w miękkiej, letniej wodzie, w której gdy już doskonale nasyconą będzie, maczać pendzel i pociągać nim drzewo, przeznaczone do ukolorowania, tyle razy, ile potrzeba do otrzymania żadanego odcienia. Jeżeli przedmiot nie jest zbyt duży, pięć minut zwykle wystarczy. Każdy gatunek drzewa inaczej reaguje na to działanie, i tak: gruszkowe i wiśniowe szybko nabierają barwy; drzewo białe, jak lipa, osiczyna, — wolniej; sosna zaś, wskutek zawartej w niej żywicy, jeszcze dłuższego potrzebuje czasu.

Mebel, dostatecznie ukolorowany, obmyć w kilku wodach, a po wyschnięciu polerować politurą zrobioną podług przepisu następującego: Wziąć na wagę równe części, np. po 10 dk., oleju lnianego i spirytusu, zmieszać we flaszce; niech postoi 24 godziny. Wtedy mocno skłócić. Wziąć flanelowy gałganek i dokładnie meble nim wycierać, maczając go ciągle w powyższym roztworze. Następnie suchym gałgankiem głansować, a będą jak od pierwszorzędnego stolarza. Taka mieszanina może stać nawet parę lat; biorąc ją do użytku, zawsze tylko skłócić należy.

Na zakończenie podam doskonały przepis na woskową zaprawę do mebli, nadającą się zwłaszcza do gładkich fasonów modnych dzisiaj mebli, które im prostsze, tem bardziej błyszczec się powinny: rozpuścić na wolnym ogniu 8 części białego wosku, 2 części kalafonji i pół części terpentyny weneckiej. Mieszać bezustannie w ryneczce kamiennej, a kiedy jeszcze gorące, dodać 6 części mocnego, terpentynowego olejku; po zastygnięciu masa powinna mieć miękkość masła. Meble, przeznaczone do odświeżenia, trzeba przedtem dokładnie wymyć wodą z mydłem, a po zupełnym wyschnięciu, brać tej woskowej masy na miękką szmatkę i najpierw lekko, później co raz to silniej, wcierać ją w mebel conajmniej pół godziny; wkońcu przeciągnąć dobrym, czystym lakierem szperlakowym, a meble nabiorą świetnego połysku. Politurę taką każdy bez zachodu zrobić sobie może i meble z łatwością oczyścić i odnowić. J. S.



## LISTOPAD W GOSPODARSTWIE DOMOWEM

Zwykle w początku listopada, — termin określa się „na Wszystkich Świętych“ — bije się na kresach wschodnich pierwsze karmniki, na szynki, nie na słoninę.

W byłej Kongresówce zwyczaj ten nie jest znany: tu się ukarmia wieprze po sztuce, lub po parę i bije się je rok cały, w miarę potrzeby.

Oba zwyczaje mają dobre i złe strony, — chcąc jednak robić trwałe, a wyborne w smaku wędliny litewskie, należy je robić w czasie mrozów: jest to jednym z głównych warunków ich trwałości.

Otóż na kresach wschodnich, — a wiem, że „Bluszcz“ ma tam liczne rzesze czytelników, — listopad, już tam mroźny i śnieżny, jest miesiącem wędlin i pekeflejszów, przyrządzanych na rok cały. Młodsze sztuki, przeznaczone na najdelikatniejsze szynki, polędwice i kielbasy, już muszą być dostatecznie utuczone; starsze, przeznaczone na słoninę, karmią się jeszcze do świąt Bożego Narodzenia, lub nawet do zapustu, jednak głównie o tłuszcz z nich chodzi, no i o olbrzymie szynki do gotowania na Wielkanoc; najsmaczniejsze wędliny na surowo są z młodszych, bitych jesienią, tak zwanych kabanków.

Wędliny, po należytem nasoleniu (od dwóch do trzech tygodni), należy dobrze obsuszyć przez dni kilka na wietrze i dopiero wtedy wędzić w zupełnie zimnym dymie, używając do dymienia jałowca, gałązek choiny, wilgotnych wiórów, lub opilek z drzew szpilkowych. Dymi się wędliny, zależnie od rozmiaru kawałków, od tygodnia (cienkie kielbasy) do dwóch (polędwice, boczki, salami, słonina) i trzech tygodni (szynki i łopatki). Sparzone w gorącym dymie, będą niesmaczne, a głównie — nietrawne.

Obok wędlin, zwykle w listopadzie robi się na cały rok mięso peklowane. W tym czasie wołowina jest zwykle najtańsza, gdyż w dużych oborach wyprzedają przed zimą trochę podkarmione, nie dość mleczne sztuki, których karm zimowy nie opłaciłby się.

W tym samym czasie kończy się pasienie owiec i bije się większą ilość baranów. Nakoniec kaczki i gęsi, należyte utuczone na runi i gumniskach przy młocce zboża, są najtłustsze. Ze wszystkich tych gatunków mięs mieszanym, dodając do nich kawałki wieprzowiny, można robić wyborne pekeflejsze, mogące zastąpić na zimno szynki i inne wędliny, a na gorąco stanowiące wyborną zmianę w jadłospisach obiadowych, czasem, na prowincji szczególnie, trudnych do urozmaicenia.

Tam, gdzie zima jest ostra i nie zachodzi obawa większych i długotrwałych odwilży, przypominam gospodyniom doskonały sposób konserwowania bitych kaczek.

W tym celu kaczek się nie zarzyna, tylko ukreca się im kark, wieszają na mrozie i, gdy zamarzną, trzyma się je gdzieś na strychu, lub w śpichrzu. Krew cała pozostaje w środku, co sprawia, że mięso w pieczeniu jest nieco ciemniejsze. Nie jest to wadą, gdyż właśnie najlepsze, ruanie kaczki specjalnie duszą, a nie rzną, aby zachować jaknajwiększą ilość krwi w mięsie. Powietrze nie dostaje się do wnętrza tak zabitej kaczki, i może się ona wybornie konserwować do lutego, a nawet dłużej. Wraz z innymi wędlinami

najlepiej jest przygotować półgęski zwijane i na kości, przyczem duże, gatunkowe kaczki mogą być też na nie użyte. Po uwędzeniu różnią się od gęsi tylko jeszcze większą delikatnością smaku, konserwują się równie dobrze.

Oprócz wędlin, listopad jest miesiącem kwaszenia kapusty.

Doświadczone gospodynie twierdzą, że kapusta, stawiana na nowiu, jest twarda i skrzypi pod zębami, zaś na ostatniej kwadrze — miękka, — stosownie więc do tego, jaką kto lubi, należy wybrać czas na jej przyrządzanie. Zbytne też ubijanie kapusty robi ją miękką, należy więc w tem ubijaniu zachować miarę.

Duże zapasy kapusty muszą robić panie wiejskie, mające liczną służbę i czeladź do wyżywienia; zmuszone są też do kwaszenia tej pożytecznej jarzyny panie, mieszkające w mniejszych miasteczkach, gdzie na targach dobrej dostać nie sposób. Natomiast w dużych miastach przeważnie kwaszenie dużych beczek kapusty jest bezcelowe. Oczywiście, mówię tu o mniejszych gospodarstwach.

W restauracjach, pensjonatach, internatach, gdzie jada dużo osób, koszt kilo kapusty własnego wyrobu wyniesie połowę, i mniej nawet, ceny kapusty kupnej. Tam jednak, gdzie parę razy na tydzień jedno kilo jest potrzebne, taniej będzie je kupić w dobrym sklepie spożywczym. Olbrzymi zachód przy szatkowaniu, wybijaniu dziur, zapach ohydny przy kwaśnieniu, trudność przetransportowania do piwnicy, pleśnienie w piwnicy, ciągle obmywanie szmaty i denka, suszenie kamieni i t. p. — zbyt dużo zajmują czasu służbie, a ciągle odrzucanie psującej się wierzchniej warstwy — chyba jakiejś, specjalnie zajadłej gospodyni nie odstraszą od robienia tego kłopotliwego zapasu.

Widzę, że w listopadzie piszę tylko o zajęciach pań, mieszkających na wsi. Panie miejskie przeważnie już używają tylko porobionych uprzednio zapasów, gdyż życie towarzyskie jest w całej pełni, i wszelkie konserwy, konfitury, marynaty są w codziennem niemal użyciu.

Poważnie pomyśleć należy o zgromadzeniu dostatecznej ilości opału na zimę. Nawet osoby, uważające, że dogodniej jest, ze względu na mniejszą pracę służby, kupować węgiel na kosze, powinny mieć rezerwę parotonnową w piwnicy, na wypadek jakiegoś strejku, zatrzymania dowozu, i t. p. Pozatem węgiel, kupowany w czasie śniegów i deszczów, ma w sobie masę wody, za którą niepotrzebnie masę pieniędzy przepłacamy. To samo stosuje się do drzewa, które tak wilgocią nasiąka, że waga jego w czasie dżdżystym prawie się podwaja. Zresztą w miastach, gdzie niema specjalnych szop, zrobienie większego zapasu drzewa jest bezcelowe: w mieszkaniu niema na nie miejsca, na strychu palnych materiałów trzymać nie wolno, a w piwnicy drzewo nie tylko nie przesycha, lecz jeszcze próchnieje i staje się zupełnie niezdatnym do użytku.

Chcąc zabezpieczyć okna i drzwi balkonów, należy je przelożyć wałeczkiem z waty; oprócz tego okleić wszystkie szpary grubym białym papierem, większe szczeliny zaszmarować miękkim kitem, zrobionym nie na pokoście, gdyż taki twardnieje i nie daje się wiosną usunąć, lecz na surowym oleju z dodatkiem nafty. Oberlufty — przynajmniej jeden w każdym pokoju, — po starannem oklejeniu watą wewnątrz linii zamknięcia, pozostawia się nieoklejone papierem, aby móc w zimie otwierać je dla wietrzenia.

W mieszkaniach miejskich balkon od ulicy stanowi zimną doskonałą spiżarnię, nie należy więc zaklejać na głucho drzwi od niego, tylko zaopatrzyć je nieco grubszym wałeczkiem z waty i u dołu, pomiędzy podwójnymi drzwiami, położyć długi sienniczek, który przy każdorazowym otwieraniu drzwi łatwo się da usunąć, a który zupełnie ochroni od wiania po nogach.

Kiedy coraz mniej mamy przyjęć wieczornych w domach prywatnych, coraz więcej się rozpowszechniają „five o'clock'i“, czyli przyjęcia podwieczorkowe. Ludzie pracy nie mają czasu rozwozić, jak dawniej, setkami całymi bilety wizytowe, i radzi przyjść wtedy, kiedy napewno zastaną gospodarzy domu. Dla pań domu ten zwyczaj przedstawia tę dogodność, że nie są zaskoczone zniemacka, jak to bywa często przy niespodzianych odwiedzinach, psujących czasem cały porządek domu, wieczorne projekty i t. p. Nie nadając tego rodzaju „five'om“ charakteru specjalnie posiłkowego, trzeba jednak mieć jakieś ciasto, najlepiej dobrą babkę do herbaty, jakiś likier, lub domową nalewkę do czarnej kawy. Pozatem mogą być do herbaty jakieś filigranowe tartynki, owoce, lub cukierki. Są to jednak już rzeczy zbędne. Między obiadem, a kolacją w życiu codziennem nic się nie jada, wypija chyba filiżankę kawy, lub herbaty: to samo, tylko bardziej elegancko podane, ofiarowujemy naszym gościom. Wszelkie wysadzanie się jest zawsze niesmaczne i w złym guście.

Pani Elżbieta.



„PEKEFLEJSZ“

Jesienią, kiedy zwykle mięso bywa tańsze, gdyż przed postawieniem bydła do obór na wyłączny karm zimowy, sztuki niedość mleczne zostają wyprzedane, gospodynie chętnie zaopatrują się w mięso peklowane, mogące nawet w odkrytem naczyniu stać do marca i stanowiące na gorąco doskonałe urozmaicenie jadłospisów obiadowych, a na zimno wybornie zastępujące szynkę gotowaną.

Najlepsze na pekeflejsz są kawałki od ogona, wszelkie kawałki pieczeni z kwiatkiem, pozatem grudzina, o którą, niestety, u nas trudno, gdyż przednie części sztuk zdrowych wykupują żydzi na koszer. Nie należy brać mięsa ze sztuk zbyt chudych, gdyż pekeflejsz będzie bez smaku; zbyt tłuste kawały do soleńia też się nie nadają.

Przedewszystkiem należy się zaopatrzyć w szczelną i mocną baryłeczkę, lub faskę, dobre denko i duży kamień. Baryłkę i deseczkę mocno wyparzyć, kamień wysuszyć w gorącym piecu, aby w nim zniszczyć zarodki pleśni. Mięso pokrajać na takie kawały, jakie są potrzebne na jednorazowe użycie, usunąć, o ile można, duże kości, nie robiąc jednak dziur w kawał-

kach mięsa, to jest oddzielając tylko te, co się znajdują z brzegu. Osolić, mocno wcierając, solą z saletrą. Sól musi być wprawdzie uprażona, — czyli ogrzewana na patelni, na ogniu, aż zacznie mocno trzeszczeć; — bierze się tej soli 1 kilo na 24 kilo mięsa, saletry zaś na tę ilość 2 deka. Na dno faski sypie się garść soli, układa, szczelnie ubijając, kawałki mięsa, przesypując je liściem bobkowym, pieprzem, zielem, rozmarynem, a kto lubi ten zapach — kalendrą; posypać z wierzchu solą, przycisnąć denkiem i dużym kamieniem. Po paru dniach mięso powinno puścić z siebie sok, który wraz z solą uformuje rosół. Rosół ten powinien stale pokrywać mięso: gdyby go było za mało, dodać wody przegotowanej z solą.

Tak się robi pekeflejsz w mieście, na prędki, paromiesięczny użytek; należy go trzymać w zimnym miejscu, np. w suchej piwnicy.

Na wsi, gdzie się robi większe zapasy i gdzie się konserwuje mięso peklowane głównie na letni użytek, należy faskę, lub baryłkę zabić szczelnie denkiem, — przyczem kamień jest zbyteczny, — wszelkie szpary i szczeliny zalać doskonale smołą i baryłkę wynieść natychmiast do lodowni. Co dni kilka należy ją przewracać, aby rosół jednakowo do mięsa dochodził. Z ustaniem mrozów należy baryłkę zakopać do lodu i po otwarciu wciąż trzymać w lodzie.

SZCZUPAK PO WĘGIERSKU

Kilowego szczupaka po oczyszczeniu z łuski i wyjęciu wnętrzości należy rozplatać wzdłuż od głowy do ogona, usunąć, o ile się da, większe ości, osolić na godzin parę. W niezbyt głębokiej nelsonce, lub pokrywie zrumienić w maśle drobno pokrajaną, dużą cebulę, poczem cebulę wyjąć, na masło ułożyć szczelnie kawałki szczupaka. Cebulę zmieszać ze szklanką śmietany, lub śmietanki, i dwiema drobno usiekanymi, wprawdzie nieco wymoczonymi, sardelami, (można sardelle zastąpić śledziem-ulikiem, o różowym mięsie). Masą tą polać rybę, posypać grubo tartą bułeczką. Do bułeczki można dodać ostrego, tartego sera, a nawet odrobinę czerwonej papryki. Piec pół godziny w niezbyt gorącym piecu i podawać w tem samym naczyniu na stół. Oddzielnie — gotowane kartofle.

Każda matka i każda wychowawczyni musi nabyć jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo

p. t.

„WZORY OZDÓB CHOINKOWYCH“

84 ozdoby na choinkę w naturalnych kolorach z dokładnymi objaśnieniami i sposobem wykonania.

CENA 7 zł. — z przesyłką poleconą 7 zł. 60 gr.

Dla naszych prenumeratorek 5 zł. z przesyłką poleconą 5 zł. 60 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“, Krak. Przedm. 99, po przesłaniu należności znaczkami pocztowymi, lub na konto czekowe P. K. O. Nr 13.555.

Za zaliczeniem, ze względu na wysokie koszty pocztowe, nie wysyłamy.

KARP W PIWIE

Jest to niemiecki sposób przyrządzania karpia, jednak bardzo smaczny. Żywego, kilowego karpia zabija się uderzeniem młotka przy nasadzie głowy. Po oczyszczeniu z łuski, przy usuwaniu wnętrzości należy wszystką krew zebrać do filiżanki i zalać łyżką octu. Karpia wewnątrz i zewnątrz nasolić (jedno deka soli) i potrzymać tak osolonego godzin parę. Pokrajać rybę na dzwona, ułożyć w ogniotrwałej formie, lub metalowej nelsonce, przekładając drobno pokrajaną, dużą cebulą, plasterkami z półcytryny, obranymi ze skórki, listkiem, zielem, paru goździkami. Przykryć 10 deka dobrego piernika (miodownika), pokrajanego w drobne kawałki, zalać butelką czarnego piwa i gotować wolniutko na brzegu blachy, uważając, aby się nie przypaliło od dna. Gdy ryba miękka, wyjąć kawałki, sos przetrzeć przez sito, zmieszać z krwią i octem, dodać, w razie potrzeby, do smaku cukru, lub soli, otartą na tarce skórkę z użytej cytryny. Rybę włożyć napowrót w naczynie, zalać sosem, zagrać tylko mocno i gorącą podawać. Oddzielnie podać kartofelki z wody.

OSTRE PIKLE Z DYNI

Dojrzałą, pomarańczową dynię (banię) wykrawać w kulki łyżeczką do drażenia kartofli. Zagotować wodę, dobrze ją osolić, wrzucić dynię, zagotować raz, odcedzić na przetak, lub odrazu zanurzyć we wrzątek w specjalnym drucianym koszyczku, przeznaczonym do smażenia na fryturze, aby wszystkie kulki były w jednakowym stopniu ugotowane. Gdy dobrze przestygną, złożyć do garnka i zalać lekkim octem, przegotowanym z korzeniami. Po kilku dniach ocet ten zlać, wygotować do połowy objętości, dodać pieprzu, listka, ziela, parę goździków, połowę mocnego octu. Wystudzonym octem zalać ponownie pikle. Chcąc nadać im jeszcze większą trwałość, dodać po ugotowaniu octu, do gorącego jeszcze, na każdy litr jedną pastylkę benzoesu.

SALATA Z BULWY WŁOSKIEJ

Aby się bulwa dała dobrze oskrobać z łupin, należy ją trzymać przez całą noc w zimnej wodzie, aby była bardzo jędrna. Po oskrobaniu ugotować ją w wodzie, (jeśli gotujemy tego dnia rosół, można ją ugotować w rosole, któremu smaku dodaje, sama go też dużo nabierając); gotuje się bardzo prędko. Wyjąć durszlakową łyżką, ostudzić, pokrajać w cienkie plasterki. Ułożyć na salaterce, przesypując usiekaną jak najdrobniej cebulką. Utrzeć łyżkę oliwy z sokiem, wyciśniętym z całej cytryny, (komu nie szkodzi ocet, może cytrynę nim zastąpić), odrobiną soli i pieprzu, zalać tem bulwę i dać postać godzin parę przed podaniem. Parę jaj ugotować na twardo, pokrajać na ćwiartki,

lub plasterki, ubrać niemi bulwę, posypać zieloną pietruszeczką, lub szczypiorkiem, — co kto woli, — i podawać jako sałatę do pieczystego, lub jako przekąskę po wódce.

TORT „MOCCA“

Sześć żółtek utrzeć z 25 deka cukru, (lepiej pudru), dodać 25 deka masła, utrzeć razem na pianę, dodać 25 deka mąki suchej, pszennej i białka, ubite na sztywną pianę. Upiec w lekkim piecu, trzymając około godziny. Po wyrzuceniu z formy wynieść na chłód. Na drugi dzień pokrajać ostrym nożem na cztery równe płyty i przełożyć następującym kremem:

Cztery żółtka, 20 deka cukru, czubata łyżka mąki pszennej i szklanka mocnej, aromatycznej kawy — ubijać to na ogniu, aż dobrze zgęstnieje; wynieść na chłód. Tymczasem utrzeć na śmietanę 25 deka najlepszego, śmietankowego masła, zmieszać z ostudzoną kawową masą. Posmarować kremem trzy krążki, kłaść jeden na drugi, przykryć czwartym. Pozostałym kremem posmarować tort po wierzchu i po bokach. Można go jeszcze posypać drobno posiekanymi, prażonymi migdałami.

JABŁKA W SZLAFROKACH

Pół kilo mąki, ćwierć kilo tłustego masła, dwie łyżki cukru i odrobinę skórki cytrynowej zagnieść na kruche ciasto z paru łyżkami wody i wynieść na chłód na godzin parę. Sześć bardzo dużych, winkowatych jabłek obrać ze skórki, wydrążyć środki, napełnić każde łyżeczką konfitur, lub cukrem, utłuczonym z paru migdałami. Ciasto rozwałkować cienko, rozkrajając na sześć równych czworokątów. Na środku każdego ustawić jabłko. Rogi podnieść i połączyć je u góry tylko, ściskając bardzo mocno. Posmarować ostrożnie żółtkiem, posypać grubym kryształem i upiec w średnio gorącym piecu. Podawać zimne, lub gorące. Jeśli jabłka są mniejsze z tej ilości ciasta może wyjść 8 do 10 „szlafroków“.

DOBRE RADY

Chcąc, aby ciasto nie wysychało, trzeba po wyjęciu go z form, kiedy jeszcze gorące, posmarować świeżem masłem, ze wszystkich stron, obsypać pudrem, włożyć z powrotem do form i trzymać zawinięte w serwetę.

\* \* \*

Lina przed skrobaniem sparzyć gorącą wodą, aby łatwiej nożem łuskę ściągnąć, lub, co jeszcze lepiej, obetrzeć takową na tarce.

Dr. med. J. ŚWITALSKA

POWRÓCIŁA I ORDYNUJE W CHOROBY SKÓRNYCH I KOSMETYCE LECZNICZEJ CODZIENNIE OD 5 DO 7.

KRUCZA 31, M. 3.

## KORESPONDENCJE

Do Sz. Prenumeratorek „Bluszczu“. Redakcja „Bluszczu“ zawiadamia, że z wszelkiego rodzaju porad, nie wyłączając kosmetyki, będą mogły korzystać wyłącznie prenumeratorki „Bluszczu“. Wobec tego prosimy uprzejmie Sz. Panie o podawanie swych adresów na listach, kierowanych do nas z wszelkiego rodzaju zapytaniami.

Pani Zofja R. Używając kakao zamiast czekolady, należy brać cztery dziesiąte danej ilości kakao i sześć dziesiątych cukru, czyli zamiast dziesięciu deka czekolady, cztery deka kakao i sześć deka cukru — oprócz ilości cukru, już podanej w przepisie. Nie należy zapomnieć o małym kawałeczku wanilii, stanowiącej składową część czekolady i udzielającej jej zapachu. Chcąc, aby kakao zupełnie zastąpiło czekoladę w leguminie, należy je rozpuścić w paru łyżkach mleka, dodać cukier z utłuczoną wanilią, łyżeczkę od herbaty śmietankowego masła, zagotować razem i użyć dopiero tak przyrządzone. Będzie do złudzenia naśladowało smak i aromat najlepszej czekolady.

Pani Eugenia Godlewska w Marchoniach. Przepis wina z jabłek był podawany kilkakrotnie w „Bluszczu“. Ubiegłego lata umieszczony był obszerny artykuł o wyrobieniu win owocowych ze szczególnym uwzględnieniem win jabłecznych. Żadna odpowiedź, ani artykuł nie mogą być umieszczone w najbliższym numerze, gdyż z przyczyn technicznych druk „Bluszczu“ trwa około dwóch tygodni.

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Czytelniczce z Pińska. Parafinowe obchudzanie jest nowością; dużych doświadczeń nie mamy jeszcze w tym kierunku. W żadnym wypadku zaszkodzić nie może, jeśli będzie przeprowadzone pod kierunkiem lekarzy-specjalistów. Należy tylko dyskutować nad tem, ile zabiegów jest potrzebne i na jak długo działać będzie skutek obchudzania? Czy działa tu sama parafina, czy tylko wysoka temperatura, czy spala się tłuszcz, czy tylko organizm wypaca pewną ilość wody, — jest dla pacjenta obojętne; w każdym razie efekt w krótkim czasie następuje.

Parafinowe obchudzanie ma to znaczenie, że można częściowo tylko zmieniać kształty. Najważniejsze jest, że po zastosowaniu tych zabiegów należy ogólnym trybem życia, odpowiedniemu odżywianiu, stosowaniu sportu i masażu wagę swą utrzymywać w stałej normie. Inaczej wszelkie zabiegi i koszta będą tylko stratą czasu i niepotrzebnym wydatkiem. Parafinowe obchudzanie daje dobre rezultaty przy artretyzmie i złej przemianie materji.

Jeśli chodzi o obchudzanie zapomocą masażu, to skuteczniejszym środkiem jest masaż ręczny, którego nigdy żaden aparat nie zastąpi.

Masżyna nie ma tego wyczucia, ani tej subtelności, jaką daje ręka. Natomiast masaż ręczny jest zabiegiem kosztownym, na któ-

ry nie każdy sobie może pozwolić. Jeśli warunki nie pozwalają na stosowanie masażu ręcznego, to naturalnie i masaż t. zw. „Punkt Rollerem“ da pewne rezultaty, Trzeba zwrócić uwagę, że masaż tak ręczny, jak i maszynowy, nie może być stosowany bez wskazań lekarskich. Żylaki, choroby chroniczne kobiece, ślepa kiszka i wiele innych schorzeń są przeciwwskazaniami do masażu.

Często przez nieświadomość i lekkomyślność można sobie wielką krzywdę uczynić.

Cierpienia chroniczne, niedające żadnych objawów, pod wpływem masażu, zwłaszcza nieumiejętnego, mogą dać bardzo przykre następstwa. Od najdawniejszych czasów, poza masażem ręcznym, były stosowane rozmaite przyrządy, które starano się ułatwić i zastąpić masaż ręczny. Jednak aparaty nie utrzymały się i po pewnym czasie nanowo się zjawiły w podobnej postaci, lecz pod inną nazwą. Wszystko ma swoją modę. Obecnie „Punkt Roller“ stał się modny. „Punkt Roller“ w zasadzie nie jest szkodliwy, o ile stosuje się dla zdrowego organizmu. Ma on te zalety, że sam obchudzający się musi wykonywać pewne ruchy, co ma bardzo doniosłe znaczenie.

Bardzo często masażystka w pocie czoła masuje pacjentkę, która oczekuje na nią w łóżku bez najmniejszego ruchu do 12 godzin i zjada w międzyczasie dwa śniadania, co znowu wpływa na nadwagę. Masaż musi być stosowany stale i regularnie.

**UWAGA:** Kroje modeli, umieszczanych w Dodatku Mód, dostarczamy po cenach następujących:

palto, lub suknia fantazyjna . . . . .	zł. 3,50
suknia zwyczajna . . . . .	„ 2,50
bluzka . . . . .	„ 2,00
formy dziecinne . . . . .	„ 2,00
bielizna . . . . .	„ 1,50

Wzory, umieszczane w zmniejszeniu w dodatku mód i robót, mogą być dostarczone w wielkości naturalnej po cenach następujących:

obrus — makata — ekran — zł. 2,50, poduszka — serwetka — zł. 1,50, drobne desenie — gr. 75.

Przy zamawianiu wzorów należy koniecznie wymienić numer wzoru i rok, gdyż innych wzorów poza temi, które były umieszczone w „Bluszczu“, nie wysyłamy.

Formy i wzory wysyłamy tylko po otrzymaniu przy zamówieniu należności w znaczkach pocztowych lub przekazem.

## „Jak się robi kapelusze“

DOKŁADNA NAUKA ROBIENIA LETNICH  
I ZIMOWYCH KAPELUSZY

CENA 1 zł. 50 gr.

Z przesyłką pocztową cena 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO“, Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

## „Kultura Ciała“

miesięcznik ilustrowany, poświęcony szerzeniu kultu zdrowia fizycznego i kosmetyce pod red. Dr. J. Świtalskiej. Tytuły działów, prowadzonych przez najlepsze siły lekarskie i fachowe:

Higjena ogólna z uwzględnieniem specjalnie kobiecej, wychowanie fizyczne, kosmetyka lekarska, choroby skórne, światłolecznictwo rytmika, tańce plastyczne i t. d., środki kosmetyczne, masaż ogólny i kosmetyczny, zagadnienia ogólnej natury, nowości (buduar pięknej kobiety, rozmowy przez telefon, radio, wywiady z artystkami, pięknymi kobietami i t. d.), dział odpowiedzi na listy czytelniczek.

CENA NUMERU 1 zł. 50 gr., prenumerata kwartalna z przesyłką pocztową 4 zł. 50 gr.

Nadsyłać czeki P. K. O. Warszawa Tow. Wyd. „Bluszcz“, Nr 13.555. Administracja: Krak. Przedm. 99.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Tel. 244-75.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ“ Rymarska 8, tel. 244-18.